

909

15

7

WACŁAW GAŚSIOROWSKI

(WIESŁAW SCLAVUS)

SOMOSIERRA

OPOWIEŚĆ DZIEJOWA

WYDANIE TRZECIE ILUSTROWANE



WARSZAWA — 1934

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

3207
225

1059 Tadm. książki.

3207
225

Prawa przedruków i przeróbek zastrzeżone.
Copyright by Wacław Gąsiorowski, Washington D. C.

1934.

Odbito 3.200 numerowanych egzemplarzy.

Nº 1980

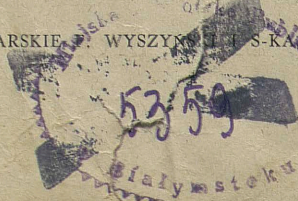
WŁASNOŚĆ
Zakładów Drzewnych L. P.
W HAJNÓWCE

111



DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA
HURTOWNIA DLA KSIĘGARZY I WYDAWCÓW
POD ZARZĄDEM E. W. SZELAŹKA
WARSZAWA, PLAC TRZECZ KRZYŻY 8

ZAKŁADY DUKARSKIE, WYSZYŃSKA, WARSZAWA, WARECKA 15.



884-311.6-2

ROK był 1808.

Cesarz Aleksander z Napoleonem podali sobie ręce.

Tam, przy ujściu Niemna, w Tylży, jeszcze może kryli w łukach brwi zamysły tajne, lecz oto teraz, w Erfurcie, spotykali się nie jako dwaj wrogowie, lejący wodę na ogniem bojowym rozpalone miecze, nie jako dwaj przeciwnicy utrudzeni krwawymi zapasami, nie jako władcy, składający na ołtarzu dobra ludów swe ambicje, — ale jako przyjaciele, jako dwaj monarchowie związani nie tylko paragrafami sojuszu, lecz i węzłami osobistych sentymentów.

Napoleon był u szczytu mocy i potęgi a jednak na zjeździe erfurckim, siedząc pośród królów-lenników, u boku cesarza-druha, chmurzył się a, mówiąc o najbliższych spodziewaniach, błyskawicami wzrok swój zapalał.

A ludy Europy radowały się nadzieją pokoju, wzdychały z ulgą, imały się zaniechanej pracy. Rolnik wracał do zapuszczonych pól, miasta turbowały się podźwignięciem ruin.

Burza — mówiono — była i burza przeszła narazie.

Tymczasem nie była to burza, lecz dziejowy huragan, który póty szaleć i zrywać się nie przestaje, póki go własna moc nie skruczy.

Od Renu aż po Niemen, od Bałtyku po Egipt, rozsypiska Arabji i wilgotne gaje San Dominga piętrzyły się już kurhany mogilne a pomniki bonapartowej sławy. Miljony już złożyły się na krwawe wawrzyny Napoleona, miljony zczczyły w zapomnieniu, aż do niebytu dochodzącem, byle jego imię przetrwało, — a jeszcze nie wypełniła się czara przeznaczeń.

Bonaparte coraz częściej spoglądał na kąt Europy, gdzie za łańcuchem Pirenejów, wśród kastylijskiej pustyni, wznosiła się stolica Karola IV, króla hiszpańskiego, gdzie ponad tronem przetrwały jeszcze lilje Burbonów, skąd ku potężnemu zdobywcy skradało się wciąż widmo wczorajszej jego nicości, widmo niewygasłej jeszcze potęgi możnego rodu Ludwików francuskich.

Smutne były rządy Karola IV, smutne jak zachód słońca, jak roztopianie się ostatnich jego promieni w mgłach horyzontu, jak melancholja czerniejących obłoków, jak bezsilny wzrok wędrowca za tem, co odeszło, co ginie w oczach, niknie a co nie wróci.

Rządy Karola IV smutne były zaiste, smutne świadomością zapadania się jednego z najpotężniejszych państw i świadomością niemocy.

Już, gdy Karol IV odbierał berło ze skostniałych rąk wielkiego rodzica swego, Karola III, nad Hiszpanją zawisły chmury, w złowrogie brzemienne wróżby. Napróżno minister Florida Banka usiłował je zażegnać. Nad półwyspem Iberyjskim zaciężyły wieki — wypadki zaś jeno torowały drogę temu, co się stać miało, co było następstwem tysiąca dalekich, niedosięgłych niekiedy dla skalpela dziejopisa, przyczyn.

Wojna z Anglią zrujnowała finanse państwa a, idące z poza Pirenejów, echa Rewolucji Francuskiej, już

w czwartym roku panowania Karola IV, napełniły go trwogą, nieufnością przejęły, zwałliły jego rządy. Związki krwi z Ludwikiem XVI niewoliły do upominania się, do pomszczenia krwi krewnego, sąsiada i aljanta. Konwent zaś francuski groził wojną, co gorsze, groził rewolucją.

Karol IV był dobrym człowiekiem, może zacnym nawet, miał tysiące zalet do zyskania miana prawego obywatela kraju, lecz i tysiące danych na złego króla. Małe cnoty Karola IV urastały na błędy nieprzebacalne.

Lecz Karol IV miał najlepszą wolę i jasne widzenie własnej nieudolności i przeświadczenie potrzeby gruntownych zmian i przeobrażeń. Gdy przeto usiłowania Florinda Blanki nie dawały rezultatów, Karol IV powołał do swego boku hrabiego Arandę i dalej oglądał się i szukał człowieka, któryby zdjął zeń ciężar władzy, któryby uzdrowił schorzone państwo...

Tymczasem do Madrytu przyszedł pieszo dwudziestoletni młodzieniec, syn ubogiego szlachcica z Badajoz w Estremadurze, niejaki Manuel de Godoy. Przyszedł z gitarą w rękę, z piosnką swywołną na ustach, z ogniem w czarnych, głębokich oczach, przyszedł do stolicy w pogoni za chlebem, za losem, za szczęściem i grać zaczął i śpiewać.

Rok cały przesiedział Godoy w Madrycie na łasce miłośniernego oberżysty, rok cały Godoy żył za miedziaki, zbierane wśród łaskawych gości oberży, za figlarne piosenki, za ogniste takty bolera, choty i fandanga. Aż na pięknego śpiewaka sama pokojowa królowej Marji Ludwiki raczyła rzucić przyjaznem okiem.

Godoy umiał skorzystać z wpływu *camarery* królewskiej i dostał się do gwardji i grał i śpiewał dalej potężnej protektorce.

Camarera z całego serca turbowała się o swego Manuela, a w trosce tej i usiłowaniu gorącem nie przewidziała, że dość będzie Godoyowi się wznieść, aby o niej zapomnieć.

Raz, w chwili nudy dworskiej, gdy rozkapryszona Marja Ludwika zazdrościła swobody ostatniej ze swych poddanek, *camarera* wspomniała o młodym, ubogim a pięknym śpiewaku-gwardziście.

Pokojowa umiała być wymowną. Godoya przywołano do pałacu królewskiego, odtąd już zeń wyjść nie miał.

Marja Ludwika zapalała gwałtowną miłością ku ubogiemu szlachcicowi. Królowi podobał się młodzieniec pełen życia i energii.

Losy Godoya były zdecydowane. Zaszczyty bezprzykładnie szybkie, awanse nie do uwierzenia piorunowe spadły na Godoya.

Napoleon, będąc kapitanem artylerji, oficerem wykształconym, potrzebował trzech lat, żeby zostać zaledwie... generałem, dowódcą Armji Włoskiej.

Godoy w roku 1787 z obojętności wstąpił na prostego gwardzistę, w rok był adjutantem kompanji, w dwa lata generałem porucznikiem, księciem Alcuda, majorem gwardji królewskiej, kawalerem złotego runa, pierwszym ministrem, głową państwa i faktycznym królem!

Naród ze zgrozą poglądał na tak wyniesionego raptownie młodzieniaszka, na faworytę królewskiego, na hańbę panującego domu, na zaślepioną dobroć Karola IV i następne miłostki Marji Ludwiki.

Lecz Manuel Godoy potrafił zręcznie ster rządu uchwycić i lawirować wśród intryg dworu i dyplomacji.

On, ubogi śpiewak estremadurski, zagroził Konwentowi Rzeczypospolitej, on, po ścięciu Ludwika XVI, ujął się

za prawami Burbonów i wydał wojnę i prowadził ją ze zmiennem szczęściem, szukając oparcia w przymierzu z Anglią, i on zawarł pokój w Bazylei.

Karol IV umiał być wdzięcznym, a Marja Ludwika wierną. Manuel Godoy wyniesiony został do niesłychanej w dziejach królestw godności, bo do tytułu jego królewiczowskiej mości Księcia Pokoju.



Manuel Godoy książę pokoju,
wszechwładny minister hiszpański

Kres potęgi Godoya nie dosięgnął jednak tronu, a może sięgnąłby i tam, gdyby nie to że za Pirenejami świeższa jeszcze rozpalala się gwiazda...

Książę Pokoju stał u szczytu. W roku 1796 nowy traktat zawarł już z Dyrektoryjatem francuskim i to przeciwko Anglii. Ta ostatnia podniosła rękawicę. Wojna wy-

buchnęła zażarta, nieubłagana, rozstrzelona. Hiszpanja była przecież jeszcze wówczas złomem wielkim kolosu, w którym nie zachodziło słońce, była pierwszorzędną potęgą morską, ogarniała rozległe kolonje, panowała i w Meksyku, i w Peru, i w Chili, i w Kolumbji i we Florydzie. Anglja wszakże nie żałowała ofiar.

Kłęski jęły zwałać się na Hiszpanję. U przylądka Św. Wincentego flota hiszpańska pierwszy odebrała cios, a dalej nietylko Kadyks pławił się w ołowiu, lecz i wyspy Kanaryjskie i Porto-Rico i Guatemala, a nawet Caracas wenezuelski.

Skarb hiszpański świecił pustkami, miljonowe straty w ludziach, okrętach i dobytku rosły, handel i dowóz kolonialny ustały, wrzenia rewolucyjne, niesnaski z duchowieństwem gnębiły kraj, niszczyły, trawiły...

I lud z coraz większą nienawiścią spoglądał na Manuela Godoya, w nim widząc wszystkich nieszczęść przyczynę.

Karol IV, chcąc nietykalnością otoczyć swego ulubieńca, chcąc uprawnić jego wyniesienie, a dać mu głębokie, trwałe podstawy, postanowił ożenić go z Marją Teresą de Vallabriga Burbon, hrabianką Chinchon, córką stryja swojego, infanta Ludwika. Usłudźni heraldycy, aby ten związek usprawiedliwić, wywiedli ród estremadurskiego szlachcica od meksykańskiego Montezumy!

Związek był zdecydowany. Piętnastoletnia księżniczka miała paść ofiarą Godoya, a nadewszystko Marji Ludwiki. Gdy naraz stał się wypadek, który o mało nie zrujnował kariery Księcia Pokoju.

W wigilję zaślubin Godoya, do pałacu królewskiego w Madrycie wpadła młoda kobieta niezwyklej urody, znana w kołach towarzyskich stolicy pod nazwiskiem Jó-

zefiny Tudo, i rzuciła się z płaczem do nóg królowej. Była to potajemnie zaślubiona żona Godoya i matka jego dzieci.

Marja Ludwika nie zdziwiła się, wiedziała o wiarołomstwie kochanka, toć ona w przystępie zazdrości uplanowała powtórny związek! Jakoż królowa nie dała się wzruszyć. Józefinę Tudo, omdlałą z bólu wyniesiono z pałacu. Ślub się odbył.

Lecz to, co miało w pojęciu Karola IV raz na zawsze utwierdzić Godoya na stanowisku głowy państwa, zmusić lud do pokory i milczenia, wręcz przeciwny wywołało skutek. Lud zapalał do księcia Alcuda większą jeszcze niż przedtem nienawiścią, ksiązę zaś, uczuwszy się członkiem rodziny Burbonów, nie na żarty własnej korony szukał.

Francja, zmordowana rządami rewolucjonistów, zaczęła tęsknić do jednowładztwa, do króla. Nie stronnicy Burbonów, ale już republikanie przemysłiwali o powrocie dynastji. Spiski w Paryżu zaczęły się mnożyć, szukać punktu oparcia. Energiczniejszy od innych Klub Clichy'jczyków znalazł drogę do Godoya. W śmiałym rzucie spiskowym podzielono berła... no i jedno z cięższych przeznaczono dla Księcia Pokoju. Godoy dał się niebacznie wciągnąć może nawet w rozmyślnie nań zastawioną pułapkę.

Dyrektorjat francuski, przestrzeżony w porę, chwycił nici i zagroził wojną Hiszpanji. Karol IV, wystraszony bardziej możliwością zatargu z Francją niż zdradą Godoya, usunął ulubieńca od władzy i powołał na jego miejsce tego, którego mu Ksiązę Pokoju wskazał.

Nieszczęścia tymczasem waliły się na dziedzictwo Filipa II. Susza zniszczyła zasiewy. Żółta febra dziesiątko-

wała ludność, w samej Andaluzji około stu tysięcy ofiar pochłonęła. Trzęsienie ziemi w Granadzie lud zabobon-
nym napełniło lękiem i złowieszczemi wróżbami prze-
świadczyło. Anglja nie mogła darować Karolowi IV
przymierza z Francją, huk dział na morzu nie ustawał.

Następcy Godoya, mimo szczerych wysiłków, opano-
wać położenia nie mogli. Saavedra, Urquijo, Jovellanos
wznosili się i padali jeden po drugim, nie znajdując ra-
tunku, tracąc razem z Karolem IV grunt pod nogami.

Hiszpanja musiała wybierać ciągle między Anglją
i Francją. Oba państwa zapraszały ją do sojuszu i oba
groziły wojną i zmuszały ją do wojny i za nic nie ze-
zwalały na jej neutralność. Albo ty ze mną albo idę prze-
ciwko tobie!

Niedołężny Karol IV nie chciał w istocie wojny z An-
glją, a mocniej jeszcze bał się teraz oręża francuskiego,
którego sława pod przewodem konsula Bonapartego tar-
gała posadami Europy. Wybierając z dwu współzawo-
dników tego, który był niebezpieczniejszym, bo silniej-
szym, a tuż za Pirenejami się znajdującym, Karol IV
stał się biernem narzędziem Francji, posłusznym wyko-
nawcą rozkazów Napoleona.

Bonaparte w żądaniach swych nie był powściągliwy.
Gdy bowiem w zapasach swych nie mógł dość głęboko
dosięgnąć Anglji, postanowił zniszczyć jej sprzymie-
rzców. Pierwszym rezultatem tego zamysłu było przy-
bycie do Madrytu Lucjana Bonaparte z żądaniem, aby
Karol IV wypowiedział wojnę swej rodzonej córce...

Napoleon poprzysiągł zgubę Portugalji. Córka Karo-
la była żoną portugalskiego regenta!...

Żądanie było kategoryczne. Karol IV usiłował wpły-
nać, aby Portugalja odstąpiła Anglji, lecz gdy maleńki

ten ale wierny kraik postanowił wytrwać przy swej opie-
kunce, Hiszpanja dźwignęła swą armję.

Anglja zmusiła znów Portugalję do obrony i tak dwa
ludy w zgodzie sąsiedzkiej ze sobą żyjące, żadnego nie
żywiąc ku sobie rankoru, rozpoczęły wojnę.

Wybuch wojny wrócił ster rządu Godoyowi i dał mu
tytuł naczelnego wodza.

Pokój w Amiens dał Hiszpanji chwilowe uspokoi-
enie, lecz nie na długo.

Napoleon skępował swego sprzymierzeńca, zmusza-
jąc do dostarczania posiłków, Anglja zaś przy lada spo-
sobności szarpała i rwała flotę sojuszniczki nienawistnej
Francji, blokowała porty, zabierała handlowe okręty,
czaiła się do kolonij, siała w posiadłościach i dobytku
hiszpańskim zniszczenie.

Hiszpanja długo znosiła korsarstwo angielskie, aż za-
pałała chęcią odwetu. Odwet atoli niełatwym był do
zgotowania, tem trudniejszy, iż niewiadomo komu się
należeć był powinien. Wypadki tymczasem nie dały na
siebie czekać.

Pokój w Amiens obok innych warunków zmuszał
Hiszpanję do ustąpienia Francji Luizjanny, z tem wszak-
że zastrzeżeniem, że wrazie opuszczenia jej przez Fran-
cuzów, kolonja ta wróci pod berło Karola IV. Napoleon
jednak, w trzy lata po podpisaniu tego traktatu potrze-
bował pieniędzy na wojnę i bez ceremonji sprzedał Lui-
zjanę Stanom Zjednoczonym!... Dwór Hiszpański obu-
rzył się na to bezprawie, lecz milczał narazie, dopiero,
kiedy Bonaparte w kilka miesięcy później zażądał od
Hiszpanji wojska, Godoy odpowiedział mu gorzkimi wy-
rzutami i apostrofami do chęci zachowania neutralności.
Książę 'Pokoju nie znał jeszcze Napoleona! Replika z Pa-

ryza nastąpiła natychmiast i replika tak gwałtowna i brutalna, że sam Godoy zmuszony był namawiać do poddania się żądaniom nieubłaganego aljanta. Żądania zaś te były jasno określone: półtora miliona franków miesięcznie zapomogi na koszty wojenne...

I Hiszpanja zaczęła płacić, rozumiejąc, iż ten ciężar, choć rujnujący, choć do poniesienia trudny, lżejszym jej będzie od wojny samej, od zatargu z wodzem tak piekielnego szczęścia jak Bonaparte.

I Hiszpanja płaciła okrutny podatek i borykała się z nędzą i udawała wobec Anglii neutralność, udawała dotąd, dopóki rządy Wielko-Brytanji nie zostały ujęte w żelazne dłonie Pitta. Nowy minister nie miał litości dla sprzymierzeńców Napoleona i nie miał dla nich ani not dyplomatycznych, ani ostrzeżeń.

Dnia 5-go października 1804 roku cztery okręty hiszpańskie, wiozące z Ameryki szesnaście milionów piastrow dla pustego skarbu, zostały pochwycone przez Anglików pod samym Kadyksem.

Miara pojednawczej polityki hiszpańskiej się przepełniła. W butnej „Królowej mórz“ zagrała duma. Hiszpanja postanowiła czoło stawić Anglii.

Drogą ofiar najcięższych, drogą podwojenia podatków, wyzbycia się ostatnich piastrow i środków, Godoy wystawił i uzbroił trzydzieści okrętów, połączył je z flotą francuską i jął ścigać... Nelsona!

Anglja została zaatakowana na przestrzeni od Trinidadu i Martyniki aż po Indje, Antylle i La Manche. Aż dnia 21-go października 1805 roku flota hiszpańsko-francuska, pod dowództwem Villeneuve'a, spotkała się pod Trafalgar oko w oko z Nelsonem. Przewaga sił franko-hiszpańskich wynosiła aż sześć okrętów linjowych,

jedną fregatę i trzy brygi. Zguba Nelsona była niechybna. Losy wszakże zawyrokowały tutaj wbrew ludzkim rachubom.

Nelson za pierwszym starciem złamał linję obronną Villeneuve'a, trzynaście okrętów nieprzyjacielskich zapalił i, zapaliwszy, zatopił. Siedemnaście okrętów dostało się do niewoli, siedem tysięcy ludzi poniosło śmierć w walce z ołowiem, ogniem i wodą...

Okruchy potężnej floty franko-hiszpańskiej uciekły.

Nelson odniósł zwycięstwo niesłychane, niepowetowane w śmiertelnym ciosie, bijącym w morską potęgę Francji i Hiszpanji równocześnie. Wielki Nelson własnem życiem okupił Trafalgar. Poległ, lecz zwyciężył! Prowadzenie Anglii na morzu stało się niepodzielnem.

Kłęska pod Trafalgar wstrząsnęła do głębi i Francję i Hiszpanję. Rany obu tych państw były tu może równie głębokie, straty równie niepowetowane. Ale Francja miała Napoleona, miała na otarcie łez sztandary zdobyte świeżo pod Ulmem, była w przededniu Austerlitzu. Hiszpanja zaś nie widziała dokoła siebie jaśniejszego błysku. Hiszpanja czuła coraz głębiej, że jest ofiarą, że jest łupiona zarówno przez Anglję jak i przez Francję, że pierwsza miliardowe straty zadała jej w bitwach morskich, druga notami dyplomatycznymi żądała nowych milionów. Hiszpanja nadto miała głód, miała pomruk ludu o dopuszczeniach boskich za grzechy dynastji, miała dorosłego następcę tronu Ferdynanda, który, będąc narzędziem w ręku swego przewrotnego nauczyciela, Excoiquisa, już ku rodzicom nieufnie poglądał, już spiskował.

Nie dość na tem, Hiszpanja miała ponad sobą obuch nielitościwy, nieubłagany. Obuchem tym był Napoleon. Napoleon ani chwili nie dał wytchnąć swemu sprzymie-

r
i
P
Z
n
r
i
P
Z
n
c
F
R
r
eńcowi, nie uwzględnił żadnej z jego skarg, żadnej z prośb. Królowi hiszpańskiemu nie listy stał za łada kunktatorstwem, lecz uwłaczające epistoły. Był dla ostatniego z sierżantów łaskawszym niż dla kraju, który zmuszał do dźwigania wszystkich swoich nienawiści. Ten sam Napoleon, który w środowisku Europy umiał być wspa-
niałomyślnym zwycięzcą i wyrozumiałym sąsiadem dla niemieckich książątek, tam, za Pirenejami, nie posiadał nawet tej niewyszukanej przyjaźni, którą miał dla wier-
nego wasala Tamerlan lub Atylla!

Trafalgar! Hiszpanja, dla sojuszu z Francją, nietylko straciła raz na zawsze potężną marynarkę, nietylko zaprzepąściła miljardy, nietylko wybór dzielnego ludu ska-
zała na zagładę, nietylko zmarnowała całą moc swoją, trzymającą w ryzie niesforne kolonie, — lecz nadto sta-
nęła bezpowrotnie na pochyłości, która dla państwa ma już jedną jedyną drogę, drogę do upadku.

Trafalgar! Napoleon wiadomość o morskim pogromie odebrał w drodze do Wiednia. Klęska była okrutna, lecz Bonaparte jeno zęby zaciął i zmienił jeno plan upoko-
rzenia Anglii... Nie mógł zgnębić jej wprost, nie mógł czoła stawić jej flocie, więc ją będzie miażdżył w jej sprzymierzeńcach, więc całą Europę albo zmusi do rzuce-
nia się na Anglię albo całą Europę sam opanuje.

Rozkazy z pod Wiednia padły. Biuletyny sprowadziły Trafalgar do znaczenia pospolitej, nieciekawej potyczki morskiej. Posłuszne gazetki nawet się tam taką jakąś bi-
twą nie zajmowały. A Hiszpanja? Hiszpanja odebrała w nagrodę żądanie wypłacenia dwudziestu czterech mi-
ljonów franków... Francji!...

Karol IV płakał. Lud hiszpański jęczał. Panował już tylko Godoy z Marją Ludwiką.

Gdy naraz po zwycięstwie austerlickiem padły słowa, które nową goryczą wypełniły serce słabego króla.

Król neapolitański, skuszony przez Anglię, a podnie-
cony przez Austrię, przystąpił do koalicji. Bonaparte na taką niesforność oświadczył krótko:

— Dynastia neapolitańska przestała istnieć!...

A przecież ta właśnie dynastia stanowiła najbliższą rodzinę Karola IV, a przecież przed kilku laty zaledwie infantka hiszpańska poślubiona była następcy tronu nea-
politańskiego, a syn Karola IV, Ferdynand, zacieśnił je-
szcze te więzy przez małżeństwo z Marją Antoniną nea-
politańską.

Nowy policzek był wyraźny, znieść go trzeba było w milczeniu, a nawet na życzenie Napoleona uznać Jó-
zefa Bonaparte za króla neapolitańskiego.

Karol IV jednak powążył się ociągać ze spełnieniem rozkazu, — do Madrytu nadszedł nowy wyrok Napoleona: „Nie uzna Józefa Karol IV, uzna go następcą Karola!“

Ostatnie złudzenia na dworze madryckim znikły. Ostat-
nie nadzieje na jaki taki *modus vivendi* z Francją roz-
wiały się. Bonaparte zgubę poprzysiągł wszystkim dzie-
dictwom Burbonów.

Godoy nową partję polityki miał w zanadrzu. Jakoż, ledwie Napoleon dźwignął się na rozszarpanie Prus, Książę Pokoju wyciągnął rękę ku Anglii. Ta odpowiedziała mu tajnem przymierzem. W Hiszpanji ukazał się gorący manifest do narodu, wzywający w najzapalczywszych słowach do składania ofiar, do zaciągania się pod sztan-
dary, a choć nie wskazujący przeciwnika, lecz aż nadto wyraźny.

Zaledwie atoli manifest dosięgnął wszystkich zakątków Hiszpanji, echa Jeny i Auerstaedu odbiły się o mury



Madrytu. Ułękł się król, przestraszyła królowa. Godoy, nie tracąc przytomności, obwieścił, że manifest był przez nieznanych wichrzycieli sfalszowany i jak najpotulniejsze zaręczenia Napoleonowi wysłał.

Przyjął je Bonaparte z ponurym błyskiem oczu. Wiedział już o knowaniach z Anglią, wiedział o zamysłach Godoya ale, stojąc jeszcze w obliczu Pułtusza, Ilawy i Friedlandu, nie miał czasu na karanie winnych zdrady za Pirenejami i udał, że wierzy zaręczeniom przyjaźni...

I nad Hiszpanją zawisły krwawe dni sześćioletniej wojny za służby wierne Francji, za uleganie Bonapartemu, za to, że dynastia Karola IV miała w herbie nienawistne lilje, które urosłemu z oficera Cezarowi były widmem jego własnej, wczorajszej nicości, widmem, które za wszelką cenę postanowił zniweczyć.

Wszystkie te atoli nieszczęścia, zawisłe nad ludem hiszpańskim, może były mniej upokarzające, mniej bolesne niż te gorszące zajścia, których świadkami były ściany zamku eskurjańskiego, aranchueckiego, w ostatku bająńskiego.

Stronnictwo, nienawidzące rządy nikczemnego mandolinis i estremadurskiego, potęgowało w miarę klęsk, w miarę przeświadczenia ludu, że Godoy jest przyczyną nieszczęść spadłych na kraj. Następca tronu, Ferdynand, znieść nie mógł plamy, którą Godoy rzucał na koronę ojca, na imię matki i coraz większą pałał ku Księciu Pokoju nienawiścią.

Nadomiar niepowściągliwy, nieokrzesany a brutalny charakter Ferdynanda a małe i spalone jego wykształcenie oddały go na łaskę i niefelaskę takich zauszniików jak Excoiquiz. Ci zaś podsycali w nim nietyle może poczucie honoru, ile żądze panowania, żądze władzy, od które

Godoy usuwał Ferdynanda. Równocześnie inkwizycja hiszpańska, gnębiona przez Księcia Pokoju, a szukająca swego odrodzenia, wsparła Ferdynanda i współdziałanie swoje rozpoczęła od oskarżenia Godoya o dwużeństwo. Karol IV osłonił swą powagą ulubieńca. Wówczas Ferdynand, a raczej nieubłagany wróg Godoya, Excoiquiz, uknuł spisek przeciwko tronowi. Czujny Godoy wykrył knowania.

Karol IV na wiadomość o zamachu, a głównie, niepomna na macierzyńskie uczucia, królowa Marja Ludwika, nakazała uwięzienie następcy tronu i spiskowych.

Gdy w mrocznym Eskurjału wrzała haniebna rozterka między synem i rodzicami, Napoleon, poruszony znów śmiałym napadem Anglików na Danję, swoją aljantkę, postanowił zemścić się na Portugalji i wykreślić ją z listy państw europejskich.

Droga do małego królestwa Braganzów, zawieszonego na skraju półwyspu Iberyjskiego, wiodła oczywiście przez posiadłości Karola IV. Dyplomacja francuska złagodniała, Godoy został wciągnięty wprost do planów, Hiszpanja niewątpliwie miała odetchnąć.

Układ był prosty i dla imienia Burbonów niezwykle łaskawy. Portugalja zniknie z karty Europy, na jej miejsce powstanie samodzielne królestwo Manuela I, Godoya i — nowe berło Luzytanji dla dawnego króla Etrurji...

Wykonawcą tego postanowienia został Junot, który bez zwłoki wkroczył do Hiszpanji, witany z zapalem przez ludność. Dnia 30-go listopada 1807 roku Lizbona została opanowana przez Francuzów. Król portugalski z rodziną uciekł do Brazylji.

W miesiąc niespełna, po przemarszu przez Hiszpanję

Junota, przeszedł Pireneje drugi korpus francuski, liczący dwadzieścia siedm tysięcy żołnierza pod generałem Dupontem.

Hiszpanie przyjęli ukazanie się tej drugiej armji z nie-mniejszym zapalem, z równymi owacjami i wybuchami



*Murat, książę Bergu, król neapolitański
malował Gérard.*

ukontentowania, choć nie mogli się oprzeć zapytaniu, na co ta druga armja, gdy pierwsza już opanowała Portugalję.

Lecz nie tu był koniec niespodzianki. W styczniu wkroczył do Hiszpanji marszałek Moncey, wiodąc trzeci korpus, a tuż za nim szły dywizje Lecchi, Chabran i Du-

chesne i szły już nie na Bidassoe, lecz ku Pamplunie i Barcelonie!

Co znaczyła ta armja w zaprzyjaźnionym kraju?! Co znaczyło, że Junot zapomniał o królestwach dla Godoya i króla Etrurji i Portugalję ogłosił za podległą Napoleonowi? Co znaczył ten pochód innych jeszcze wojsk francuskich, które wciąż jeszcze ku Pirenejom się zbliżały? Co znaczyło, że już marszałek Bessières gwardje cesarskie prowadził — ba, i sam Murat gotował się do drogi?

Wprawdzie „Monitor“ francuski głosił, że Cesarz musi czuwać nad bezpieczeństwem półwyspu Iberyjskiego z uwagi na spodziewany napad Anglików... ale Hiszpanja miała przecież i swoje wojska; ale jakich to wybrzeży miały bronić korpusy francuskie, kwaterujące w Kastylji?

W Eskurjalu wśród największego popłochu zastanawiano się jeszcze nad rozwiązaniem tych zagadek, gdy armja francuska rozlała się już po całym półwyspie i gdy równocześnie zaczęły w Hiszpanji dziać się rzeczy zgoła niepojęte, szczególnie tam, kędy wznosiły się mury i okopy hiszpańskich fortec.

Raporty, nadchodzące z prowincji o tych zajściach do pałacu królewskiego, były niemniej zagmatwane.

A więc, na przykład, dowódca twierdzy hiszpańskiej w Figueras, na prośbę generała Charban, zgodził się chętnie na osadzenie w forticy stu nowozaciecznych żołnierzy francuskich, którzy zostali przyłapani na dezercji. General Chabran w gorących słowach podziękował komendantowi za tę przysługę, a w trzy dni później fortica, otworzona w nocy z wewnątrz przez tych stu... sta-

rych a wytrawnych żołnierzy, została zajęta przez wojska francuskie.

Do Pampluny wszedł generał Armagnac z trzema bataljonami, witany serdecznie przez dowódcę warowni, generała Valledantoro. W kilka dni, rano, kilkunastu żołnierzy francuskich podeszło do bramy fortecznej, niby po odbiór racyj i dla zabicia czasu zaczęło rzucać na siebie kulami śniegu. Kilku, uciekając przed natarczywością kolegów, wpadło na most zwodzony. W tejże samej chwili rozległ się wystrzał! Warta mostu zwodzonego została rozbrojona a piechota francuska wypadła z koszar i sztandar francuski powiał nad Pampluną.

Co innego zupełnie stało się w Barcelonie. Tam przybyła dywizja generała Duchesne, dywizja, maszerująca wprost... do Kadyksu. Zachwyt barcelończyków był niezmierny. Duchesne był rozczulony przyjęciem uroczystym, a chcąc czemkolwiek odwdziczyć się pocziwym Katalończykom, zapowiedział wielką rewję na polu, pod cytadelą.

Thumy ciekawych przez dwie godziny z rzędu podziwiała postawę i sprawność francuskiego żołnierza, damy czarownemi ścigały go spojrzeniami, oficerowie nie szczędzili serdecznych pochwał, wiwatom nie było miary...

Aż, naraz, bataljon, manewrujący tuż pod bramą fortecy, zmienił front, rzucił się na straże hiszpańskie i... w kilka minut groźna forteca bez wystrzału została opanowana, a załoga hiszpańska bardzo grzecznie rozbrojona i wyproszona za mury...

I łuska spadła z oczu Hiszpanów. Ostatni tron Burbonów zadrżał.

Godoy posła za posłem stał do Paryża. Paryż milczał.

W odpowiedzi na protesty Godoya w Burgos stanął Murat. Murat, szwagier Napoleona, książe Bergu, marszałek, wódz wszystkich korpusów w Hiszpanji i namiestnik cesarski.

Dyplomacja umilkła. Karty były otwarte.

Dwór Karola IV z Godoyem bawił w Aranchuez. Tam grom dosięgnął i Karola IV i Marję Ludwikę i Godoya.

Dwór
ionny
hwi-
ami,
ieka!
zpo-

ema-
niały
otę-
tem,
stwa
wagi

uez,
bie-
fale
woj-
wia-

wo-

I MINEŁY piękne dni Aranchuezu!
Postanowiono uciekać do Sewilli, do Andaluzji. Dwór gotować się zaczął do drogi. Tymczasem, uwolniony niedawno z więzienia, Ferdynand umiał skorzystać z chwili. Wśród wyniszczony głodem, uciemiężony podatkami, zgnębiony a szemrzący lud padły słowa, — król ucieka!

I minęły piękne dni Aranchuezu, minęły może bezpowrotnie, minęły na długie lata.

Gwiazda, przyświecająca mandoliniście z Estremadury, zbladła, zgasła. Stopnie tronu załamać się miały pod Karolem IV, los ludu, losy mocarstwa, którego potęga sięgała zamórz i zaoceanów, które rządziło światem, a niezmierzonymi władało bogactwy, losy tego państwa miały stać się zawisłymi od bohaterstwa kobiet, odwagi dzieci, poświęcenia starców...

I minęły piękne dni Aranchuezu!

Na pierwszą wieść o ucieczce dworu, do Aranchuez, niby stada kruków, czyhających na żer, zaczęły się zbiegać ponure postacie włóczęgów, tłumy opryszków i fale nędzy. Setki mnichów kręciły się między ludem i wojskiem. Fale szumowin wypływały z zakamarków, na światło dzienne wylegały jakieś cienie nocy.

W dniu 18-go marca 1808 roku nastąpił wybuch rewo-

lucji. Lud rzucił się nade wszystko na pałac tego, którego uważał za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść. Godoy schronił się do pokoi królewskich. Rewolucja wzmagala się. Rozszalały motłoch jął grozić. Karolowi IV ukazało się widmo Ludwika XVI.

Nazajutrz po zburzeniu pałacu Godoya, król ogłosił usunięcie ulubieńca Marji Ludwiki od władzy, lecz tego było już niedość. Oczy ludu zwracały się do Ferdynanda, jego imię brały za hasło!...

Ferdynand krył oddawna plan zamachu. Mając więc teraz za sobą nie tylko spiskowych ale lud i wojsko, w obliczu rozszalałego motłochu, otaczającego pałac i miotającego obelgi na króla, wobec tłuszczy, która z pianą na ustach wyciągała pięście ku tronowi, Ferdynand podyktował ojcu zrzeczenie się tronu.

Wybuch szczerej radości powitał wstąpienie na tron Ferdynanda VII. Przewrót dokonany zdawał się urzeczywistniać wszystkie pragnienia ludu hiszpańskiego. Jakby ludowi hiszpańskiemu wolno było teraz stanowić o sobie, jakby orły Bonapartego zstąpiły napróżno na półwysep.

W Burgos czuwał Murat. Na pierwszą wiadomość o wypadkach w Aranchuez ruszył wprost do Madrytu i stąd wyprawił gońców do Karola IV. Murat nie uznawał dokonanego przewrotu.

Stary król, ochłonawszy z przestachu, a uczuwszy podporę w namiestniku cesarskim, ogłosił nieważność zrzeczenia się swojego, jako napisanego pod przymusem.

Ferdynand nie chciał atoli porzucić raz pochwycionej władzy. Otoczywszy Aranchuez wojskiem, a wywłókłszy z niego Manuela Godoya i osadziwszy go w lochu razem z jego poplecznikami i zausznikami, syt pierwszej zemsty, wyjechał do stolicy, lecz tu już panował Murat.

Wszelkie zabiegi Ferdynanda, aby go namiestnik Napoleona uznał za króla, spełzły na niczem. Murat bez wyszukanej grzeczności tytułował Ferdynanda królewiczowską wysokością, głuchym był na przedstawienia panów hiszpańskich, drwił sobie wprost z łask, które mu cichaczem obiecywano. Bo co Muratowi, synowi nędznego szynkarza z Bastide, mógł ofiarować taki Ferdynand VII?... Muratowi, który przecież sam królewskim otaczał się nimbem, który niedarmo przecież poglądał ku walącemu się tronowi Burbonów!

Ferdynand za całą i ostateczną decyzję księcia Bergu otrzymał surową zapowiedź, że sam Napoleon zjedzie do stolicy, aby sprawę między ojcem i synem rozstrzygnąć.

Bystry przewodnik Ferdynanda, Excoiquiz, wnet ułożył plan działania, plan zjednania sobie Napoleona — iść za radą generała Savary i nie czekać na przybycie mocarza, lecz zabiedz mu drogę, oddać hołd i pokłon i na swoją stronę go przeciągnąć.

Bonaparte był już w Bajonnie na granicy Hiszpanji. Ferdynand nie namyślał się i ruszył do Bajonny.

Cel podróży Ferdynanda VII nie dał się ukryć, Karol IV, Marja Ludwika i, uwolniony przez Murata Godoy osłupieli. Bo nuż Ferdynand istotnie pozyska względy Bonapartego, nuż przekonać go do siebie potrafi!

Godoy udał się do Murata. Syn oberżysty z Bastide ulitował się nad mandolinistą z Estremadury i powiedział mu: — jedźcie także!

Rada była jedyna. Marja Ludwika z Godoyem i Karol IV z nimi wyjechali do Bajonny.

Ferdynand VII przybył pierwszy, lecz napróżno opowiedział się na audjencję. Cesarz był zajęty, lustrował szwadrony i kompanje przyboczne, odbywał przejażdżki

z cesarzową, trzeba więc było czekać. W Ferdynandzie wszystka krew grała i burzyła się. Chciał wracać, lecz... poradzono mu być cierpliwym i zdwojono dokoła jego kwatery strażę. Chciał uciekać, wykryto przygotowania, chciał królewskiego zachowania, lecz mu nawet sztandaru zatknąć wzbroniono.

Ferdynand pięści zaciskał, płakał z wściekłości, a tymczasem generał Savary tłumaczył mu przejrzyście, iż jego cesarska mość Napoleon boleje nad jego losem, jednak nie może uznać samowładztwa i strzedz musi zaprzyjaźnionego kraju od niepożądanych przewrotów i niesnasek dworskich. Savary przy tych uwagach uśmiechał się tak pobłażliwie jakby tysiąc lat dynastji z bólem i zasmuceniem do przykrego obowiązku się zabierało.

Na to nadjechał Godoy z Marią Ludwiką i Karolem IV. Tu Napoleon był łaskawszy, wyszedł na spotkanie króla, sprawił mu uroczyste przyjęcie, podczas którego Ferdynandowi wolno było ucałować ręce rodziców. — Bonaparte się bawił.

Nastąpiły rozprawy Napoleona z Karolem IV. Pierwszy nie pożałował ani napomnień ani nauk, drugi tylko płakał...

Bonapartego nawet łzy Burbona nie były zdolne poruszyć. Przyszłość Hiszpanji była zdecydowana, zdecydowana nawet i w tym razie, gdyby Ferdynand był dobrym synem, Marja Ludwika zaczęła żoną i matką, Karol roztropnym królem a Godoy prawdziwym księciem...

Kapłony, z kojca wyciągnięte i do kuchni przyniesione, poczuły się, aż kucharz po nóż sięgnął, ręce zakasał i zakonkludował: — ja was rozsądzę...

Napoleon nie ociągał się z wyrokiem. Wśród zgrozą przejmujących scen, w których matka przeklinała syna,

ojciec dziecku własnemu wyrzucał zbrodnie, a syn nie wahał się najhaniebniejszych czynić rodzicom wyrzutów, Bonaparte rozstrzygnął, aby zarówno ojciec jak i syn jak i cała rodzina królewska na wieczne czasy zrzekła się korony...

Wyrok był sprawiedliwy. Karol IV nie był królem, bo już w Aranchuez zrzekł się korony na rzecz syna. Ferdynand nie był królem, bo zrzeczenie przemocą dobył i nie może być królem, bo był zawinił ciężko względem rodziców. Infanci zaś musieli także się zrzec, ponieważ Ferdynand i Karol utracili wszystko, co było po nich do dziedziczenia...

Wyrok Napoleona przygnębił całą rodzinę królewską. Ferdynand próbował się opierać, Karol chciał warunki stawiać, lecz gwardje cesarskie otaczały stalowym łańcuchem obydwu królów. Bonaparte ani sylaby nie cofnął. Karol i Ferdynand jeszcze błagali zmiłowania, gdy z Madrytu nadbiegł goniec z doniesieniem o krwawych rozruchach.

Madryt od czasu uwolnienia Godoya, wyjazdu Ferdynanda i oświadczenia Murata, że nie uznaje wypadków aranchuezkich, trwał w gorączce i niepokoju. Obecność w stolicy wojska francuskiego, wieści o panoszeniu się w całej Hiszpanji francuskich generałów podniecała wzburzone umysły. Wśród ten podminowany nastrój padły nagle echa z Bajonny, a wraz z nimi rozkaz, aby infant Franciszek natychmiast do Bajonny podążał. Chunta madrycka chciała przeszkodzić wyjazdowi ostatniego członka rodziny królewskiej, Murat ani myślał zezwolić na uchybienie rozkazowi...

Dnia 2-go maja 1808 roku masy ludu madryckiego zebrały się przed pałacem królewskim i poglądały ku cze-

kającym karetom. Infant Franciszek ociężale kończył przygotowania do podróży. Tłum rósł. Naraz przed pałacem ukazał się adjutant Murata, przybyły do zbadania przyczyny zbiegowiska. Mundur adjutanta francuskiego był iskrą na prochy.

Tłum rzucił się ku adjutantowi. W ulicach rozległy się strzały karabinowe i okrzyki mordowanych żołnierzy.

Lecz Murat czuwał. Artylerja rozkraczyła się w ulicach, kawalerja szarżami stratowała wybuch rozpacz hiszpańskiej. W kilka godzin powstanie było stłumione, odruchowy poryw oburzenia zgnieciony.

Tego wszakże Muratowi było niedość. Na place Madrytu spędzono gromady bezbronných powstańców, pochwyconych na ulicach kobiet, starców i dzieci i rozstrzeliwano plutonowym ogniem.

Serce Hiszpanji pławiło się we krwi.

Goniec Murata zawiadomił Napoleona o tej zbrodni, dokonanej przez Hiszpanów... Bonaparte zachmurzył się, ostatnie względy na zachowanie pozorów znikły. Układy bajońskie stanęły na ostrzu noża. Już nie o koronę, nie o wysokość list cywilnych musiała drzeć królewska rodzina, lecz o wolność osobistą.

Zrzeczenie się korony hiszpańskiej podpisali wszyscy Burboni. Karol IV, Marja Ludwika, infanci, Ferdynand VII i Manuel Godoy. Zabezpieczeni listami cywilnymi, udali się do wskazanych sobie rezydencji w głąb Francji.

Napoleon brata swego, Józefa, dotychczasowego króla neapolitańskiego, mianował królem Hiszpanji i Indji. Józef zjechał do Bajonny. Chunta madrycka, kwiat krwi szlacheckiej już dążyła ku Pirenejom dla złożenia powiniennych hołdów nowemu królowi Józefowi.

Tymczasem po rozruchach madryckich południe Iberji

zatrzęsło się w posadach. Z ust do ust szły wieści o gwałcie, popełnionym na osobie Ferdynanda, o tysiącach ofiar zamordowanych niewinnie, o uwięzieniu królewskiej rodziny.

Chunta w Oviedo, stolicy Asturji, oburzona tymi gwałtami wypowiedziała Napoleonowi wojnę.

Napoleon skrzywił się pogardliwie i wyjechał do Paryża, a stamtąd na zjazd erfurcki. Równocześnie armja francuska otrzymała lakoniczny rozkaz „bunt uśmierzyć“, a nowy król hiszpański polecenie... „odbyć wjazd do stolicy i wstąpić na tron“.

Murat strzegł Madrytu i czuwał nad krajem, ale gdy kurjer cesarski przyniósł mu wiadomość o przekazaniu korony hiszpańskiej Józefowi Bonaparte, księżę Bergu postrzegł nagle, iż klimat zmienny Nowej-Kastylii mu nie służy i zażądał zwolnienia z namiestnictwa. Korona neapolitańska, która dostała się Muratowi w spadku po Józefie, nie zadowolniła już marszałka, wydała się krzywdą synowi szynkarza z Bastide.

Stanowisko po Muracie zajął Savary przy współudziale generała Belliarta. Wiadomość o zmianie dowództwa przyjęto z niechęcią w korpusach francuskich, Savary bowiem ani zdolnościami ani zasługami nie dorównywał wielu ze swoich nowych podkomendnych. Ten awans niespodziewany łączono z imieniem pani Savary, zaczęto lekceważyć niedołężne rozkazy, działać ospale, a w końcu nawet unikać komunikacji z głównym sztabem.

Król Józef podczas zjechał do Madrytu, otoczony kwiatem szlachty hiszpańskiej, lecz powitany milczeniem ponurem ludu. Król Józef łaskami i nadaniami zaczął sypać dookoła, napróżno — bezprawie było zbyt wielkie, podejście Napoleona zbyt zdradzieckie.

Garstka śmiałków w Oviedo rzuciła rękawicę najpotężniejszemu z wodzów, i pociągnęła za sobą Chunty Sevilli, Santanderu, Kadyksu, Granady, Saragossy, Kartagenu i Leonu.

Lud porwał za broń i zaczął od zemsty. Chunty, które ruch ten wywołały, zadrżały ze zgrozy i przerażenia, aby same nie padły ofiarą mordów. I w okamgnieniu pożar najzjadlejszych walk ogarnął półwysep. Stronnicy Karola IV walczyli ze stronnikami Ferdynanda, a równocześnie ścigali bandy rozbójnicze i równocześnie sami uchodzić musieli przed Francuzami. Generałowie hiszpańscy rozproszeni, rozerwani, wieść zaczęli wojnę każdy na swoją rękę, zwyciężali i padali, nie wiedząc nic, co się wokół dzieje. Hiszpanja drżała w posadach.

Aż między lud zbożny padły wieści o kacerstwie francuskim, o gwałtach popełnionych na stolicy Piotrowej, o kawalerji, zamieniającej kościoły na stajnie a kruchty na koszary, o pohańbieniu najdroższych, najświętszych Hiszpanom relikwii.

I przed ołtarzami zabrzmiały słowa klątwy i z ambon spłynęły słowa wezwania do walki za Chrystusa i zgrzytnęły zardzewiałe zawory pustelni klasztornych, a na czele zbrojnych gromad stanęli mnisi z krzyżami w dłoniach i prowadzili do boju w imię Tego, który miłością nakazywał zwalczać nieprzyjaciół swoje.

Hiszpanie szli za godłem wiary Chrystusowej niby na nową krucjatę, szli bez szemrania na śmierć pewną, na rozpacz nierównych zapasów.

Żołnierz francuski na widok tych godeł, cofał się, spluwał od uroku, a wreszcie oburzony, iż mu z pod krzyża

grozić się ośmielają, ścisnął karabin i tratował i krwi dobywał nawet z habitu.

Legja Nadwiślańska zachowywała się inaczej. Sztandary hiszpańskie przejmowały ją grozą. Bo tu wiara była równie silna, może głębsza, choć spokojniejsza. Legja za pierwszym atakiem chwiała się. Legjonista opuszczał bagnet ku ziemi a oczy ku niebu zwracał, jakby czekając, izali grom nie wytrąci z rąk świętokradzkich godła męki Zbawiciela. Lecz gdy bębny zawarczały mocniej, legjonista szedł, unikając spotkania z habitem. Dopiero, kiedy z pod nasuniętego kaptura błysnęły ku niemu krwią nabiegłe oczy a ręka trzymająca krzyż wyciągała nóż i zamierzała się do ciosu, wówczas legjonista nie znał pardonu.

Równocześnie od Gibraltaru zaczęła napływać broń, amunicja i złoto angielskie. Angielscy oficerowie zjeżdżali do Andaluzji, angielskie zaręczenia podtrzymywały ducha. Lecz czyż rozpacz Hiszpanów potrzebowała podtrzymania!

Napoleon nakazał skończyć z tym buntem niewdzięczników, dał im przecież brata rodzonego za króla. Jakoż wojska francuskie nie próżnowały. Ale tu zaczęły się dziać niespodzianki, których niekiedy biuletyn nie mógł ogarnąć, nie umiał czy bał się wypowiedzieć.

Generał francuski Schwartz starł się z wojskiem hiszpańskim i natrafił na opór, który nawet żołnierza z pod Friedlandu osłupił. Eskadra francuska, zagrożona w Kadyksie od strony morza przez Anglików, poddała się hiszpańskiemu dowódcy. Generał Dupont po śmiertelnej kanonadzie ledwie przez wyłom dostał się do Cordoby. Marszałek Bessièrès niełada batalję stoczył pod Rio Seco z korpusem Cuesty, usiłującym przeciąć drogę do Madry-

tu królowi Józefowi. Duchesne toczył zażarte walki w Katalonji, Moncey porał się z Walencją. Lefebvre-Desnouettes przebiegał Biskaję i Navarrę, a Lassal warował, na drodze do Paryża, w Burgos.

Zdawało się, iż ta stutysięczna armja francuska, mająca we władaniu swem wszystkie fortece, wszystkie punkty węzłowe, wszystkie ogniska prowincyj hiszpańskich, z dnia na dzień zniewoli opornych do wezwania o łaskę, że przerazi najśmielszych ruinami, zgłiszczami i zawałami trupów.

Guerille tymczasem mnożyły się z przerażającą szybkością. Łańcuchy Pirenejów, Guadarramy, Nevady, Moreny, Grillemany roily się od zbrojnego ludu, grożącego rekonesansom francuskim, znoszącego pikietę, przejmującego rozkazy, niszczącego furaże, zmuszającego niekiedy całe dywizje do nużącego czuwania, alarmującego obozy i koszary, a wyzierającego z poza każdej skały, czatującego w lasach, na drogach, u poidel, na pastwiskach, wokół ambulansów.

W Starej Kastylji zerwał się już był Martin Diaz, przewany przez oddany i wierzący mu lud „smoluchem“. Za nim szedł Saturnin Albuir, popularniejszy nierównie pod nazwą „mańkuta“, a dalej cały szereg ludzi hartu, woli, odwagi, siły, poświęcenia i nieubłaganej nienawiści dla najeźdźców, jak Don Juan Palarea, inaczej „lekarz“, Don Juan Diaz Porlier, albo „markiziatko“, Pablo Morillo, czyli „Paweł pastuch“, Sanchez Nebot, znany pod przydomkiem „wściekłego“, dwóch Miniów; Gaspar Jau-regui, także pastuch jak Morillo, a jeszcze Acedo, Louga „kował“ i mnich Merino i ksiądz Santjago Sas.

To byli wodzowie ludu, ochotnicy poświęcenia, lecz za nimi byli jeszcze pełni bohaterstwa oficerowie hiszpań-

scy. Jedni z nich jak Palafox mieli stać się umiłowaniami narodu, chwałą, dumą i bożyszczem; drudzy, jak Daoiz, Cuesta, Fleury, La Romana, Penias, Don Benito i Lazan, mieli całym pokoleniom przykładem męstwa zajaśnieć, imiona swoje złotemi głoskami zasługi niepożytej wyrzyć, a inni jeszcze, jeżeli nie znaleźć pierwszego miejsca na kartach historii, to bodaj w pieśni ludu przetrwać, w przejmujących grozą opowieściach starców spłynąć ku nieśmiertelności.



*Pomnik Ludwika Daoiza w Sewilli
wykonany przez Susillo*

Lecz wszyscy ci wodzowie, zarówno zdawna do służby wojskowej zaprawieni, jak i ci, którzy, stanawszy na czele zbrojnych gromad, pierwszy chrzest ogniowy odbierali, nie stanowili jeszcze tej mocy, która zerwała się w naro-

dzie a która przeniknęła wszystkie jego słoje — a ta była guerilla!

Czem była guerilla? Skąd się wzięła i narodziła jej siła, zdolna oręż protestu podnieść ku temu, przed którym drżały trony Europy?!

Guerilla hiszpańska — to żywioł, to fala, powstała z najświętszych uczuć, pielęgnowanych przez wieki całe na dnie serca Hiszpanji. Uczuć tych nadewszystko, które tysiącom męczenników chrześcijaństwa dały moc pogrobu i śmierci, co nie ulękły się najsroższych prześladowań bałwochwalczego Rzymu, co nie dały się omamić blaskiem ani jego władzy, ani świetności, ani potęgi.

Guerilla hiszpańska, to najpierw walka za wiarę, za sponiewieranie Kościoła, za zamach na osobę Namiestnika Chrystusowego, a potem za ojczyznę i za dumę hiszpańską i za najazd obłudny, za sponiewieranie dynastji, za ucisk i za głód i za nędzę i za Trafalgar i za rzeź madycką.

Guerilla poczęła się bez odezw, bez manifestów, bez nawoływań, poczęła się z tego, co na dnie żywiołu drzemie, śni lata, wieki całe, co zastygły wulkan w jedną noc pióropuszem iskieł stroi, co w jedną noc roznieca zlodowaciałą jego paszczę i ziele nieprzebranymi strumieniami ognistej lawy. Guerilla hiszpańska poczęła się tak, jak почина się bunt żywiołu: zanim zdołałby kto postrzedz przyczynę buntu, on już porwał łańcuchy porządku natury, już ogarnął cały teren walki, już rozszał, zanim się objawił.

Guerilla, jak ruch żywiołu miała cel rzutu, lecz nie posiadała żadnej organizacji, żadnego ładu wyznaczonego, żadnego ujęcia, żadnej propagandy przedwstępnej, żadnych dat rewolucyjnego spisku. Guerilla była tem bez-

wiednem zarpięciem się równoczesnem dwu przeciwnych punktów w ciele ludzkim w chwili mocniejszego porażenia, była prostem następstwem ciosu, wymierzonego przez Napoleona za silnie, za głęboko.

I guerilla nie rozumiała nie tylko rozkazów chunt powstańczych, nie tylko walczyła bez znajomości sztuki wojennej, jej praw i reguł, nie tylko nie oceniała wartości wspólnej i łącznego działania, lecz nawet obcą jej była litość, obcą wspaniałomyślność, obcemi ludzkie uczucia. Bo przecież guerilla walczyła z wyklętymi, z wyjętymi z pod praw boskich, z nieprzyjaciółmi wiary, z wrogami Kościoła, walczyła na śmierć. Guerilla nie tylko zwyciężyć chciała najeźdźców, lecz i w pień ich wyciąć.

Ile wiosek, ile siół, ile sadyb liczyła Hiszpanja, tyle było oddziałów guerilli, tylu naczelników, tyle gromad, snujących się pomiędzy dywizjami francuskimi...

Lecz straszniejszymi o wiele dla armji napoleońskiej byli ci starcy, te kobiety bezbronne i dzieci, które nie towarzyszyły mężom, braciom, ojcom a synom, które, przyjąwszy pozory cichych pracowniczek, dalekich od mieszaniny się do spraw wojennych... stały się najzaciętszymi wrogami Francuzów...

Biada śmiałkowi, który poważyl się pod dachem hiszpańskim szukać noclegu, spoczynku, bodaj napoju!...

Trucizna czyhała nań w każdej kropli wody, sztylet kradł się, gdy znużony mrużył powieki, kula zwała go z konia, kiedy w wąwóz górski się zapuszczał. Co dnia ginęli gońcy francuscy, przepadały placówki, nikli zważeni chęcią zysku kupcy.

Na drogach i drożynach przeciągające wojska spotykały oszpecone zwłoki, zawisłe na drzewach ciała, zatknięte na tykach głowy... była to robota guerillów. Robota nie-

kiedy straszna, niepojęta w swem ohydnem wyrafinowaniu, zaciekle pastwieniu.

Niedość było guerillom pochwycić Francuza, niedość ubezwładnić go i na śmierć skazać... Guerille jeszcze musiały być świadkami męki — ucięcie głowy, powieszenie, rozstrzelanie nie starczyło.

Doraźne sądy guerillów w okrucieństwie nie miały granic.

Generał René, dążący do armji portugalskiej Junota, w otoczeniu zaledwie pięciu żołnierzy, wpadł na noclegu w zasadzkę guerilli. Nazajutrz pochwycyconemu oficerowi wyłupiono oczy, wydarto język, poobrzynano uszy, a po dwóch dniach męki, rozpiłowano go, między deski włożwszy.

Pułkownik dragonów był może szczęśliwszym, bo go tylko wrzucono do rozpalonego pieca. Codzień dywizje francuskie trafiały na drgające kadłuby ludzkie, na ciała, z których życie ująć zdołało ledwie z ostatnią kroplą krwi...

Wojska francuskie szukały odwetu. Generałowie okrutne wymierzali wyroki. Łuny pożarów spopielaly całe wsie, kule rozrywały na strzępy całe osady. Żołnierz francuski niszczone trucizną, ścigany w dzień i w noc widmem zdrady, skradającej się ku niemu nawet w słodkim uśmiechu dziewczyny, nawet w błagalnem spojrzeniu starca, nawet w słabem ręku dziecka — wpadał w wściekłość, burzył, niszczył mordował, rabował i palił. A gdy mu mocy brakło, gdy pięść i kula były za wątłe, aby sięgnąć pomników maurytańskiej potęgi, aby dźwignąć z posad kolosy kamiennie, siłą wierzących tysięcy na widomy znak Bożej chwały ustawione, wówczas bodaj bagnetem kaził mozaiki, plugawe rył słowa na ołtarzach, bezczęścił każdy

zakamarek świątyni, plwał na każdy jej stopień, a dwakroć przechodził Hunna.

A ponad tem morzem nienawiści, morzem krwi bratnich narodów, morzem zemsty, nie wahano się nieść krzyży, Chrystusowego imienia wzywać i ku niebu wyciągać rąk.

Król Józef I rządził w Madrycie, rządził, jak mógł, i, jak mógł, zabiegał, aby zgasić pożar mordów. Więc zarządził świetne uroczystości koronacyjne, więc przepychem chciał lud olśnić, dobrocią przejednać, więc obiecywał przebaczenie, więc z wiernym sobie kwiatem szlachty hiszpańskiej kunsztowne pisał manifesty, więc nie tylko łaskawie przemawiał, ale i schlebiał.

Lud, niewolony przez wojsko, składał przysięgi w kościołach i potem w tychże samych kościołach rozwiązanie przysięg znajdował.

Ale zaledwie ostatnie salwy koronacyjne przebrzmiały, do Madrytu doszła piorunująca wiadomość, która zatrzęsła całą sławą napoleońskiego oręża, która upokorzona Europę nową napelniła otuchą, która ścięła krew w żyłach nowego króla hiszpańskiego.

Siedemnastotysięczny korpus generała Duponta, otoczony pod Baylen przez przemagające siły Castaniosa, odcięty od styczności z innymi korpusami, znużony upałami a trawiony chorobami, poddał się!

Poddał się korpus Bonapartego! Poddał się Dupont! Dupont, który już pod Valmy się odznaczył; który już za Dyrektorjatu był generałem, który na polach Marengo wziął dowództwo dywizją, który nad Mincio wawrzynami się okrył, który pod Ulmem dwadzieścia tysięcy niewolnika zagarnął, który przybył do Hiszpanji już tylko po marszałkowską buławę! Dupont, duma armji francus-

kiej, duma tych, co rzetelną zasługą rang i wywyższeń dosięgali — poddał się! Poddał się ten, na którego czekał w Madrycie, podpisany przez cesarza, tytuł hrabiowski, będący zadatkiem mitry książęcej! Poddał się Castaniosowi, zbieraniu wojskowej, pełnej gromad i band ochotniczych!... Poddał się tuż po zdobyciu Cordoby!

Kapitulacja pod Baylen zdecydowała o losach Hiszpanji. Upadające na duchu chunty z większym zapalem rzuciły się do walki. Anglja, mając dowód oczywisty, że jej zabiegi świetne wydają owoce, jeszcze hojniej sypnęła złotem, jeszcze energiczniej dowoziła zapasy broni i amunicji, a nawet zdecydowała się wysłać Wellingtona z odsieczą do Portugalji.

Klęska Francuzów pod Baylen trafiła nawet do La Romany, który od czasu pruskiej potrzeby, wysłany jako pomocniczy oddział Napoleona, pokutował w Zelandji, otoczony dywizją Bernadottego.

La Romana nie wahał się postawić na szali życia własnego i swoich żołnierzy, rzucił się na port Nyborg i, zanim Bernadotte zdołał stoczyć z nim bitwę, dostał się na okręty angielskie i ojczyźnie wrócił korpus sprawnego i zahartowanego żołnierza.

Bonaparte ze zgrozą wysłuchał raportu o kapitulacji. Z oczu jego nie gniew, lecz żal jakiś spłynął i gorycz.

— Dupont się poddał! — ozwał się głucho do Duroca. — Dupont, któremu tak ufałem! Generałowie francuscy nie przenoszą już śmierci nad kapitulację! Tę hańbę zmazałbym chętnie własną krwią...

Kapitulacja Duponta była straszna, bo nie dość, że tyle fatalnych pociągnęła za sobą następstw — stała się jeszcze dla składających broń, wyrokiem śmierci.

Castanios zawarował Dupontowi wolność żołnierzy, lecz

skoro tylko broń odebrana została Francuzom, „chunta“ sewilska podeptała zaręczenia swego generała... Francuzów batami popędzono do Kadyksu na galery, gdzie z głodu i nędzy wymierać mieli...

Okrutny ten czyn nazwano we Francji zbrodnią, a w Hiszpanji niedostateczną karą... Tak, bo kapitulacja korpusu Duponta wykryła równocześnie w bagażach i tornistrach żołnierskich nawet monstrancje i kielichy kościelne, nawet ornaty, krzyże i wota zdarte z obrazów świętych, a nadto ujawniła, że ten korpus właśnie winien był gorszących bachanalij, odprawianych w kordobańskich świątyniach. Chunta sewilska orzekła więc krótko — dla świętokradców i złodziei — galery!

Klęska pod Baylen przeraziła Józefa I. Nowy król ze sztabem i dworem, nie czując się bezpiecznym w stolicy, cofnął się pośpiesznie do Vittorii i stamtąd słał kurjerów do cesarza i brata.

HISZPANJA podnosiła dumnie głowę. Wypadki zdawały się wróżyć jej rychłe wyzwolenie. Narzucony król uciekł, generał Lefebvre-Desnouettes, po dwumiesięcznem oblężeniu stolicy Aragonu, musiał ustąpić z Saragossy i cofnąć się przezornie na północ, marszałek Junot w zapasach w Wellingtonem tracił zwolna, choć z honorem, opanowaną Portugalję. Anglja jeszcze większą deklarowała pomoc a dwór wiedeński obiecywał wypowiedzenie wojny.

Prawda, był Napoleon. Lecz czyżby chciał i mógł w obliczu grożącego mu zerwania z Austrią zwrócić głowę ku Pirenejom?

Tak rozumowano w Hiszpanji i tak się łudzono. Łudzo-
no się, bo nie pamiętano o tem, że ten, który na ostrzach
bagnetów wyrósł, nie mógł zezwolić, aby którykolwiek
znikł, drgnął, aby złamał się lub wypadł z omdlałych rąk,
że ten, który już dwanaście lat żelazem darł Europę na
dowód, że armja jego nie zna innych bitew nad zwycięż-
kie, że może ledz, lecz nigdy ujść lub broń złożyć, nie
mógł zezwolić, aby klęska pod Baylen tysiącami trupów
hiszpańskich nie była pomszczona, aby postrach dla or-
łów jego osłabł, aby groza nie zadławiła okrzyków na
cześć Castaniosa.

Jakoż Bonaparte nie ociągał się, aby samemu okupić hańbę korpusu Duponta.

Porozumiał się szybko z dworami petersburskim i berlińskim, odwlekał przebiegle wybuch zatargu z Austrią i ruszył ku Bajonnie i Pirenejom, posuwając przed sobą dzielne korpusy Ney, — Lefebvre, księcia gdańskiego, — Victor, Soult, Lannes i Gouvion. Savarego przy królu Józefie zastąpił Jourdan. — Bessières wiódł kawalerję.

Tłum najdzielniejszych oficerów, fala wiarusów z pod Austerlitz, Marengo i Lodi ciągnęła od Renu, szła na zmazanie hańby pod Baylen, na pokaranie Hiszpanów.

Zaledwie wieść o zbliżaniu się Bonapartego dotarła do arjergardy francuskiej, wnet potężne zaufanie wstąpiło w armję. Żołnierz poglądał groźniej, mocniej karabin ścisnął i czekał jeno, aby żelazny głos wodza pchnął go na drogę chwały.

Niesnaski marszałków i generałów ucichły nagle, na biwakach szeptano wieczorami, dociekając napróżno planów kampanji.

Dnia piątego listopada 1808 roku, o północy, rozległy się pod Vitorrią gromkie okrzyki — *vive l'empereur!*

Bonaparte nadjechał chmurny. Wysłuchał raportu Jourdana — rzucił okiem na mapy i plany — i tej samej nocy jeszcze nakazał pochód. Armja przyjęła rozkaz z zapalem — obecność wodza zapowiadała znów wielkie dni.

Napoleon nie znał kunktatorstwa. Czwartego dnia pochodu, spotkawszy ośmiotysięczną armję estremadurską generała Cuesta, który wsparty na silnej pozycji chciał zagrozić drogę Bonapartemu, rzucił w nią korpusem Soult.

Ogień trzydziestu armat przywitał atak dywizji Moutona. Dywizja drgnęła pod morderczym ogniem.

Soult zaciął zęby. Na ogorzałem jego czole ukazały się ponure fałdy. Spiał konia ostrogami i wśród kul dopadł generała Moutona, usiłującego szyk sprawić w dywizji.

— Generale! — napomniął surowo marszałek. — Życzeniem cesarza jest, abyś mu drogę utorował do Burgos! Patrz tam, nadjeżdża ze sztabem!...

Mouton zeskoczył z konia, wyrwał karabin najbliższemu stojącemu żołnierzowi i huknął zajądło:

— Za mną! Na bagnety!... Dosyć tej zabawy!

Kolumna piechoty zwarła się i ruszyła naprzód... Artylerja Senarmonta wsparła ją z boku.

Atak był zażarty. Dywizja Moutona wpisała się w szeregi Hiszpanów i chłoneła je. Dwadzieście minut trwały mordercze zmagania się — trzy tysiące Hiszpanów legło.

Wojsko Cuesta jęło się chwiać, zataczać, łamać, aż w szalonym popłochu rzuciło się do ucieczki. Kawalerja francuska porwała się do pogoni, do tratowania.

Bonaparte był już w Burgos, zanim niedobitki armji hiszpańskiej zdążyły opuścić miasto.

Lecz to było dopiero pierwsze słowo Napoleona. W dwa dni później marszałek Victor zniósł pod Espinosa korpusy generałów Blaka i La Romany. Soult zajął Santander i żelazną pięść położył na Asturji, generał Fontana opanował wąwozy i wzgórza San Pedro.

Nie tu był wszakże koniec oporu, zgotowanego Napoleonowi przez Hiszpanów. Już pod Tudelą stał Castanios z Palafoxem i Peniasem i siedmdziesięciupięciu tysiącami żołnierza, wśród którego, prócz powstańczych oddziałów, prowadzonych przez angielskich oficerów,

były znakomite bataljony Arragonu, Walencji, Kastylji, Andaluzji i Tarragony.

Bonaparte nie dał na siebie czekać Castaniosowi, zwycięzcy Duponta! Już dnia 23-go listopada stanął do boju.



Generał Montbrun

Lannes rozpoczął atak na Tudelę. Na czele trzydziestu tysięcy naparł na główną pozycję Castaniosa. Mężnie stawili się Hiszpanie. Lannes niezwykły był ustępować. Sam prowadził pułki do boju, sam je zagrzewał.

Trzy konie padły pod marszałkiem. Kule ocierały się o złote jego szlufy, muskały stosowany kapelusz.

Żołnierze błagali uwielbianego wodza, aby się nie narażał. Lannes nie znał innych zwycięstw nad te, do których szedł w jednym szeregu z żołnierzem.

Pułki Legji Nadwiślańskiej walczyły zajadle — Chło-

GUADARRAMA to łańcuch gór skalistych, stromych, oślizgłych, to mur, odgradzający dziedzictwo gigantów, wał granitowy, zdolny oceanom stawić nieubłagane *veto*, to garb ziemi, garb opoki. Guadarramę przebyć może tylko orzeł, on jeden bowiem ma odwagę spojrzeć z pod niebieskich stref na ponurą pustkę, wiejącą z górskiego łańcucha, na szarzyznę, ścielącą się odeń naokół! Guadarrama *) stoi groźna, połyskująca, nawet aksamitami mchów gardząca, a taka w uścisku swych wierzchołków zwarta, tak ogniwami zrosła, że na stoki jej nikt stąpić się nie waży.

W sercu Guadarramy, na północ od Madrytu, wznosi

*) „Łańcuch Guadarrama ciągnie się od południo-wschodu na północno-wschód. Przecina go droga bita z Burgos do Madrytu. Najtrudniejszą częścią tej drogi jest wąwóz Somosierra. Znajduje się on w odległości 65 kilometrów na północ od Madrytu. Guadarrama stanowi ostatnią poważną przeszkodę na rzeczonymi drodze ku stolicy. Wąwóz tworzą dwie spadziste góry, pośrodku których wije się gościniec. Część wschodnia łańcucha wznosi się coraz wyżej, poczynając od Celeboro-Vieja i Ocnos-Menteros i Maria. Szczyty piętrząc się nagle i ostro, panują nad drogą aż do samego wąwozu. Podstawę tegoż obiega potok De la Pena del Horo, będący dopływem Dorantonu, który stąd kieruje się na Ijo, płynąc obok miasteczka Sigüero i Albea la Pena. Część zachodnia łańcucha ma formy łagodniejsze i najwyższy szczyt tworzy El Alta del Barancal. Jedną z gałęzi tego łańcucha biegnie na północ i zamienia się w obszerne płaskowzgórze“. Rys topograficzny, według hiszpańskiego rękopisu, podany przez generała rosyjskiego Puzyrewskiego.

rosyjskie
Puzyrewski

szą się szczyty Somosierry. Dumne, harde szczyty. Pośród nich wązki przestwór drogi tonie w ramionach dwóch ścian skalistych i po czterykroć załamuje się, zanim rąbek przeciwległego stoku odsłoni. Somosierra to brama Guadarramy i brama Nowej Kastylji, brama choć na ścieżaj otwarta, lecz niegościnna, lęk budząca. Te złomy granitów, te gromady skutego ciężaru nad wawozem mówią: — chodź, niech cię zmiażdżę.

Don Benito San Juan znał Guadarramę. Łańcuchy górskie obsadził lasem karabinów, a w wawozie cztery ustawił baterje. Armaty rozkraczyły się na całej szerokości gardzieli, wyciągnęły błyszczące paszcze i czekały, poglądając ku wartkiemu prądowi rozkopanej przed wawozem rzeczki.

Tu być miały Thermopile hiszpańskie. Tu rozbić się był powinien geniusz Bonapartego, tu żywioł zastygły stawał do boju.

Napoleon nadciągnął pod Somosierrę, wysłuchał raportów marszałków, doradzających obejście gór i zaatakowanie Madrytu od południa i podyktował rozkaz:

„Dywizja Lapisse uda się na noc na prawe skrzydło i o świcie przypuści atak na pozycję od Sepulvedy. Pułk 96 z baterją Senarmonta ruszy wprost ku wawozowi i będzie miał za zadanie zdemontować działa hiszpańskie. Dywizja Ruffin wesprze Lapissę. Pułk 24 uderzy na lewe skrzydło. Bessièrès z gwardją w odwodzie“.

Rozkaz cesarski wypadł z głównej kwatery. Niebieskie mundury adjutantów sztabu runęły na pola zaścienione biwakami, wyroki śmierci rozwiozły całym plutonom, całym kompanjom, setkom a może tysiącom.

Ponura, mglista listopadowa noc spowiła małą wioskę hiszpańską Boceguillas, jakby usiłując zagasić w niej lu-

ny światel, któremi zapaliła się ta cicha, górską sadyba. Napróżno. Z okien opuszczonych a na poły rozwalonych domów buchały jasne strumienie, rozświeślały ciemne kałuże nad wijącą się wśród skał drogą. W dali, poza wioską, tysiące ognisk stroiły zasłony mgieł w żółto-czerwone wstęgi, pasy, koliska.

Na skraju sadyby piętrowy domek gorzał silniej. Dookoła niego kupiły się tłumy pióropuszków.

Stąd co chwila wyrывał się rumak ordynansa i ginał hen, śród ciemni wijącej się drogi, lub tonał w morzu obozowych ogni.

Główna kwatera w Boceguillas. — Bonaparte, otoczony marszałkami, siedział zadumany przed stołem, na którym leżały rozłożone wielkie mapy, poznaczone ciemnymi linjami.

— Victor! — rozległ się nagle dźwięczny głos Bonapartego. — Cóż sądzisz o naszej pozycji?

— *Sire!* — odrzekł marszałek. — Dotarłem prawie do wawozów... pozycja, według mnie... niezdobyta!

— Jakto? Dlaczego?

— Jedyne przejście przez Guadarramę... to wawóz Somosierra... tysiąc złych żołnierzy może w nim stawić opór całej armji... Góry strome, skaliste.. czynią niepodobnym wszelki dostęp!

Bonaparte zmarszczył się.

— Niezapominajmy, marszałku, że przechodziliśmy Alpy!

— Najjaśniejszy panie — odparł żywo Victor — lecz gdybyż to były Alpy! Mimo szczytów wyniosłych, lodowców i przepaści... żołnierz kilku naraz drogami przedostać się może, z kilku stron różnych pięć się, skradać, zachodzić! A tu stoimy wobec ścianę górskiej, wobec

grzebień skał i tego jedyne go wąskiego korytarza, który ani marzyć nie pozwala o rozwinięciu ataku, który może...

— Dosyć! Bessières!?

— Ja, *sire*, nie widziałem pozycji, jednak wydaje mi się, iż czwarty korpus księcia Gdańskiego zdoła obejść nieprzyjaciela przez Valladolid i Segovję, a wówczas Don Benito, mając zagrożony odwrót, sam ustąpi z Guadarramy.

— Więc radziłbyś?!

— Pozostaw więc tutaj korpus obserwacyjny i rozpocząć ruch flankowy bądź ku Saragossie, bądź ku Segovji.

— Chcesz zatem, abyśmy ustąpili przed tą bandą powstańców?! Abyśmy na chwilę bodaj pozwolili im mniemać, żeśmy ich za istotnego poczytali przeciwnika!?

— Pochwyceni Hiszpanie podają siły Don Benito San Juana na dwadzieścia tysięcy, w tem regularnego żołnierza...

— Wolontarzy, ruchawki, hołoty!

— Oficerowie angielscy.

— Wszystko jedno. Armja z pod Jeny i Austerlitzu nie cofa się!

— Jednakże *sire*!

— Tak będzie, jak powiedziałem, rozkazy wydane! Victor!

— *Sire*?!

— Ufam, jak widzisz, twemu korpusowi! Nie możemy pozwolić, aby nam taki Don Benito śmiał drogę zagrażać!

— *Sire*! Zarówno ja, jak i moi żołnierze przed żadną się nie cofną przeszkodą!...

Bonaparte spojrział na Bessièresa.

— A... ty, Bessièresie, wykonasz, jak rzekłem, rekonasans... Gwardja pójdzie ze mną!...

Marszałkowie w wojskowych ukłonach zaczęli rozchodzić się do swoich kwater. Równocześnie prawie, w ślad za nimi, znów rozbiegli się ordynansi z nowymi rozkazami.

Bonaparte, otuliwszy się płaszczem, wyszedł przed dom. Licznie rozstawione stráže grenadjerów gwardji salutowały.

Napoleon spojrział ku drodze. Wśród migotliwych światel pochodni sunęła zwarta kolumna. Bonaparte skinął na stojącego za nim Chłapowskiego.

— Co to za oddział?

— Bateria Senarmonta — idzie na pozycję.

Napoleon się zadumał.

Artylerja przeciągnęła w głuchem milczeniu, nie poznawszy stojącego w cieniu cesarza.

Zaledwie chrzęst umilkł na drodze, tuż zanim dał się słyszeć równy, przyciszony tupot kawalerji, z pośród którego wyrwały się swywolnie tony krakowiaka:

Czy to w Pirenejach,
Czy pod Guadarrama,
Piosnka w uszach dzwoni
Jedna i taż, sama!

Nad Wiselką Kasie,
W Bordeaux „madmasele“,
Tu znów „seniority“
Proszę na wesele!...

Krakowiak rozbrzmiewał coraz pewniej, silniej, mocniej. Aż naraz przerwał go basowy głos:

— Norwill... psia mać, przestańże do licha, bo nadjeżdżamy pod główną kwaterę!

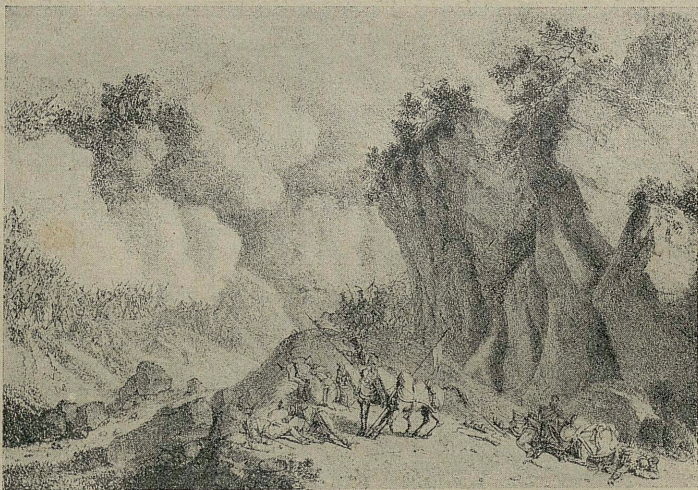
— To i co, wachmistrzu?

— Jeszcze nas despekt może spotkać! No, nie lubię, psia mać! Niema rezonów! Słyszysz Florku! Rozpuściło się psiarstwo do czarta!

— Et, głupstwo, unosisz się.

— Bom zły! Ręce mi zgrabiały! Ziab taki! A tu wlec się! Tfy! Ciepły kraj! A tu z ciepłości rozum można odmrozić!.. Psia!..

Naraz przed koniem jadącego przodem wachmistrza zarysowała się ciemna postać, otulona szczelnie płaszczem.



Somosierra
według Bacler D'Albe *)

— Dokądże to jedziecie?! — ozwał się mocny głos po francusku.

Wachmistrz ściągnął niechętnie konia i oburknął.

— A wam, co do tego?!

*) Błąd w kompozycji, gdyż pułk szwoleżerów gwardji, w r. 1808 lanc nie miał.

— Widzisz, że tu moje stanowisko!

Wachmistrz dostrzegł teraz słabo rysujący się na tle ciemni kapelusz stosowany.

— Przepraszam was, panie oficerze, ale tu łatwiej kark skrócić, niż oficera rozpoznać! Pluton trzeciej kompanji pułku szwoleżerów gwardji! Wlecemy się, panie poruczniku, do szwadronu!... Darujcie, gdym uchybił randze... Ale łba mojej szkapy nie widzę!...

— Nic nie szkodzi! Porucznik wystarczy! Byliście na rekonesansie?!...

— Gdzietam! Naznaczono nas niby na służbę przy cesarzu! No i tak się wałęsamy! Szaserzy z grenadjerami tu się rozsiedli, a nas wypędzili w pole, pod ostatnie placówki!... Cóż — cierpi się do czasu i tyle. Bo nasz szwadron — chłop w chłop — a tu rano nadjechał adjutant i przebierał między nami, jak w ulegalkach! Aż z całego szwadronu do honorowego marznięcia pod cesarską kwaterą uskrobał ledwie pięć kompanij!!

— Kto dowodzi waszym szwadronem?!...

— O, o właśnie! Ciele bez głowy! Dziś Koziętulski, jutro pewnie Łubieński, a może Gorayski! Kto chce huka i tak!

— Jak to może być?!

— A no, panie oficerze, szwadron bez szefa. W Warszawie był nim Małachowski, ale się namyślił i wziął dy-misję z tego rarytasu!... Teraz mianowali nam Stokowskiego, lecz coś dotąd go nie widać — podobno dycha sobie w Paryżu! Ale przepraszam was, panie oficerze! Czas nam! Kapitan Dziewanowski czeka ze szwadronem na tę odrobinę zgniłego siana, co nam komisarze wysu-plali do furazsznurów!

— Ty prowadzisz, jak się nazywasz?!...

— Stadnicki! — Ale właściwie ja aby gadam, a prowadzi kolega, także wachmistrz... Florjan Gotartowski!...

— Byliście w bitwie?

— My? Gdzietam! Podjazdy, rekonesanse, rozgony... niby pod Tudelą goniliśmy... i tyle!... Aż złość bierze! Bo i teraz uknęliśmy pod temi górami!... I co? Podobno jakieś marsze będą jutro — żeby się na co zdały!...

— A tybyś jak myślał, bez marszów?...

— Pewnie! Rzucić parę regimentów, rozbić to... i koniec!... To byłoby jak się należy, po napoleońsku!...

Florjan Gotartowski, który był się podsunął do rozmawiających, aby przerwać ten niezwykle postój na drodze, ile że z tyłu nadciągał oddział wojska — spojrzał bystro na otulonego płaszczem oficera, zdarł gwałtownie konia i huknął ostro na pluton.

— Baczność — Cesarz! — Zentuj... broń!...

Stadnicki aż się zachwiał na siodle.

— Jak się macie, zuchy!?

— *Vive l'empereur!* — zagrzymiał ochoczy okrzyk.

— Ruszajcie! Naprzód — marsz!

Pluton pocwałował wyciągniętym kłusem.

Stadnicki ledwie mógł przyjść do siebie.

— Tom się ubrał, psia mać! Bodajże mnie! Jeszcze z tego chryja będzie! Ciemno, choć oko wykol!... Nie lubię! Aż mnie kli!... A ja mu od poruczników!... Masz ci spotkanie! Wszystkiemu Norwił winien... Nigdy mu się usta nie zamkną. Krakowiaki mu skaczą po głowie i w dzień i w nocy... No! Spotka ci mnie krakowiak!...

Florjan uspokajał wzburzonego kolegę. Stadnicki był niepokieszony.

— Bo — zakonkludował — tyś winien!...

— Skądże ja?

— Pewnie! Odebrałeś ordynans od kapitana... Tyś powinien był odpowiadać!... A on mi mówi — „porucznik wystarczy“ — słyszałeś! — Nicby to — lecz co mu przy-mówilem w ostatku!

— Bądźcie pewni, panie Józefie, że wam za to włos z głowy nie spadnie!

— Ot, pociecha, tfy! Bodajbym lepiej wyłysiał! Każdy wie swoje! Zawsze to pójdzie na karb pułku! A niech tam sobie — psia mać! Awantura to awantura! Czego się włóczy jak zły duch po rozdrożach!? Nosa bym na jego miejscu na ten podły czas nie wyjrzał! No, nie lubię i ten!...

Pluton dotarł do stanowiska, które trzeci szwadron szwoleżerów gwardji, odkomenderowany na służbę na dzień następny zajmował po za wsią Boceguillas.

Wachmistrz Gotartowski złożył kapitanowi Dziewanowskiemu raport o spotkaniu na drodze.

W szwadronie powstały żywe z tego powodu rozprawy. Kapitanowie Jan Dziewanowski i dowódca siódmej kompanji tegoż szwadronu, Piotr Krasieński uradzili wysłać natychmiast zawiadomienie o wypadku do pułkownika Wincentego Krasieńskiego i gros-majora Dautancourta, stojących z pozostałymi szwadronami szwoleżerów z drugiej strony wsi, aby w razie czego umieli jako tako wytłumaczyć niefortunną rozmowę i burzę zażegnać.

Gdy pierwsze wrażenie przeminęło, a Stadnicki po razy dziesięć w każdym zakątku szwadronu dał upust swej alteracji, szwoleżerowie jęli znów układać się dokoła rozpalonych ognisk, szukając bodaj chwilowego wypoczynku na oślizgłej a zmarzłej ziemi.

Krótkie to było wytchnienie, lichy spoczynek. Dla bliz-

kości nieprzyjaciela i obowiązków nadchodzącej służby cesarskiej — jeden pluton stał ciągle w pogotowiu bojowym, trzymając konie za cugle, drugi odprawiał pikiety, trzeciemu wolno było tylko rozluźnić popręgi koniom i karabinki ustawić w kozły, czwarty miał prawo grzać skostniałe członki przy ogniu, a piątemu dopiero drzeć nie wzbraniano. Co dwie godziny plutony luzowały się, zamieniając kolejno wartę na drzemkę, pogotowie na wpółrozkulbaczenie, czy też ostatnie na grzanie się przy ogniu.

Pluton, przyprowadzony przez wachmistrzów Stadnickiego i Gotartowskiego, jako zmęczony na furazowaniu, otrzymał pozwolenie dwugodzinnego wypoczynku.

Lecz szwoleżerom sen jakoś nie dopisywał. Założywszy koniom obroki. — podsunęli się do ognisk — gwarząc wesoło. Ten i ów ćmił fajeczkę, inni przysmaczali sobie wino i grzali je. Niekiedy rozprawy milkły nagle. Wzrok szwoleżerów tonął zadumany w kotłujących się językach ognisk, niby w płomieniach tych, oparach migotliwych a snopach dobywających się iskier, szukając twarzy drogich sercu, może myśli jaśniejszych. I cisza głucha padała na obozowisko, że słyszeć, zda się, było przerywane serc bicie.

Aż nagle z piersi młodej dobywał się głos ochoczy. Żart, żwawy odzew, swywolna uwaga padała w ten smutek, w to zasluchanie — i rwała myśli i budziła znów życie i śmiechy.

Wachmistrz Gotartowski ułożył się przy ognisku, otulił płaszczem i próbował usnąć. Sen jednak nie przychodził. Myśli jakieś napadły wachmistrza i chmurami ryły mu czoło pod naciśniętą furazerką.

Spostrzegł to Stadnicki i przysunął się do towarzysza.

— Florek! Cóż ty, psia mać!... Markotno ci! Na kapitańskie nauki dziś nie idziesz?

— Hm! Ot, czasem lepiej z własnymi myślami zostawać!...

— Powiadaj mi! A może! Ja tego zresztą nie potrafię!... Natura, psia mać, jak zacznę tylko rozpamiętywać, to zdechł pies — zaraz mnie senność zmorduje!... Ja ci mówię, z ciebie byłby setny towarzysz, gdyby cię tylko te sentymenty odbiegły. O, widzisz! Zaraza dziś jakaś morderowa napadła cały szwadron bezmała! Patrz-że! Oczywiście wytrzeszczają... i nic!

— Cóż chcesz, panie Józefie. Każdy tam kogoś w kraju zostawił!... Przyjdzie chwila, że wspomni na strzechę rodzinną, na blizkich, to go i chwyci!...

— Hm! Może, psia mać! — bąknął pod nosem wachmistrz.

— Przyznajcie się — ciągnął Florjan. — Wy pewnie tam kogo macie?

— Ja?! — mruknął Stadnicki, poprawiając na ognisku końcem pałasza palące się główne. — Ja — miałem rodzica, no a teraz nikogo! Stryjów, psia mać, nie liczę! No, Janek, pocziwa dusza, jeden to i prawie! Wątpy tylko, mizera! — nie do wojenki mu!... Serdeczne chłopię! Ba! W naukach mocny! Choć kto go wie, dotąd ni rejent, ni kapucyn! Żeby go tak teraz mieć pod bokiem!... Hej!! A tfy, tfy!! I mnie coś zaczyna chodzić po wątrobie! Nie lubię, psia, i ten!!

— Cóż się to tak otrząsas, wachmistrzu? — rozległ się poważny głos tuż przy ognisku.

— Kapitan! — zawołał Stadnicki, zrywając się na równe nogi.

— Siedź, siedź, waćpan! No i wy panie Florjanie!

Nie czyńcie mi honorów — tu równi sobie jesteśmy. Wypoczynek, nie służba. U was tu ciepłej i weselej niż u mnie w namiocie!

— Gdzietam, panie kapitanie, komu do wesołości! Ot, dziś wszyscy pokwaszeni! Już co Florek, nie mówię, małegobek z rodu, ale Norwiłł, psia mać, ani mru-mru...

— Prawda! — przytwierdził kapitan Dziewanowski, spojrzawszy ku sąsiedniemu ognisku. — Nie każdy ma wasz humor, wachmistrzu! Toć dziś samemu cesarzowi a nie darowałeś!

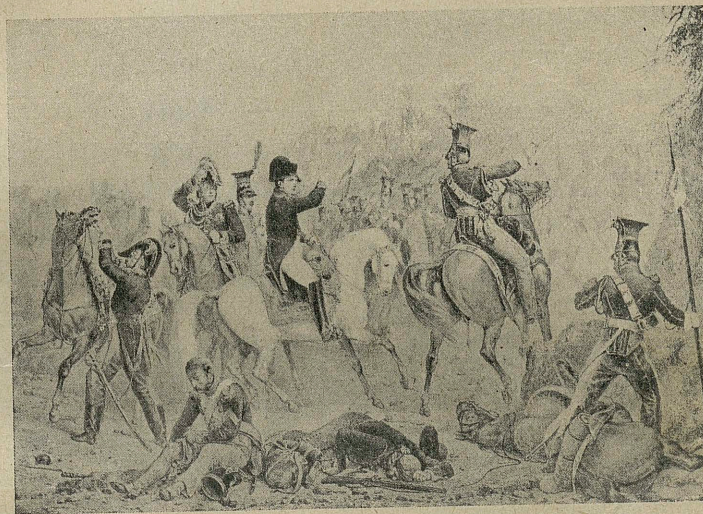
— Dobrze mu tak, niech po nocy porucznika nie symuluje! — odrzekł rażno Stadnicki. — Ho, ho! Gdyby nie Florek, to dalipan dłużej i lepiejbym mu nagadał! Bo co?! Czas psi?! Powiadali, owa Hiszpanja kraj ciepły, a tu ci taki wielmożny november, że i dwa kozuchyby się zdały, zamiast tej komiśnej okrybiedki! Szelmy! Powdrapywali się na góry i grają nam na nosie! A my co? Stoimy i gapimy się na nich...

— Niełatwo bo ich tam na tych skałach ucapić!

— Panie kapitanie — łatwo i nie łatwo — a człeka już złość bierze. Uganiamy się od trzech miesięcy i tam i sam i nic! A co najprzykrzejsze, że taki ci nasz jeden szwadron niechrzczony w całym pułku! Prócz nas wszystkie już ostrzelane! Szósta kompanja nawet już się chwali z Rio Seco! Kapitan Radzimiński ma krzyż, z dzieścioro niższych stopni także! W pierwszym szwadronie lepiej jeszcze — porucznicy Hermelaus Jordan i Załuski awansowali na pierwszą klasę! My tylko nie mamy szczęścia! A w dodatku łubieńszczyki przymawiają! Nasz szef to, a wasz szef to! Dmuchnę psia którego i będzie miał!

Dziewanowski roześmiał się pobłaźliwie.

— Powoli, powoli, wachmistrzu, przyjdzie i na nas! Bitew tu podobno nie zabraknie, bo instalacja Króla Józefa nie sporo idzie, oj nie sporo!... Waćpana rwie do bitwy! Młodyś — a czasem, wierz mi, nie wiadomo... Czasem pusto bywa w szeregu!... A temu, co został, czasem może gorzej.



Somosierra
malował Grenier *)

Kapitan umilkł i głowę pochylił. Wachmistrze nie śmieli przerywać zadumy Dziewanowskiego. Aż przed ogniskiem ukazał się nagle wyprostowany jak struna porucznik Niegolewski. Kapitan poruszył się niespokojnie.

— Jędre! Co tam?

— Melduję panu kapitanowi — zaraportował z komiczną powagą Niegolewski — że porucznik Krzyżanowski zgotował przedziwnej dobroci polewkę migdałową,

*) Zawsze obdarzanie szwoleżerów lancami, których pod Somosierrą nie mieli.

która w tej chwili oczekuje dalszych rozkazów pana kapitana!...

— No, no! Bóg zapłać! Przypuście szturm sami!...

— Nie godzi nam się, kapitanie! Niema rozkazu ustępować!

— Oj ty, dzieciaku! No, panie Florjanie, panie Józefie, chodźcie razem! Czy tylko nie za wielki wyłom wam uczynimy w waszej polewce!...

— Próżne obawy, jest tego pękaty kociołek....

Dziewanowski z Niegolewskim, a za nimi Florjan ze Stadnickim udali się do namiotu poruczników, w którym, na zaimprovizowanym stole z tarcic, buchał aromatyczną parą spory kociołek.

Porucznik Krzyżanowski przy pomocy adjutanta Rudowskiego przecierał i układał na stole łyżki. Kapitan Piotr Krasiński, siedząc w kącie na porzuconych sakwach, pykał z ulubionej fajeczki i uśmiechał się dobrotliwie.

— Jesteśmy bodaj wszyscy! — zagaił wesoło Niegolewski — bo co Szeptycki, ten na ordynansie u marszałka lepiej się pewno pożywi.

— Czekajcie! — wtrącił Dziewanowski. — Zapas polewki widzę niemały, godziłoby się jeszcze ze dwu chociaż wachmistrzów! Wasilewskiego burczymuchę...

— Ba! Trzyma wartę z porucznikiem Rowickim — zauważył Rudowski.

— Prawda!... Hm!... To możeby Dobieckiego?

— Wybornie! — potwierdził Niegolewski. — Stadnicki niech go sprowadzi, ja wartę honorową muszę pełnić przy misie.

Stadnicki przywiódł Dobieckiego. W namiocie zrobiło się gwarno. Niegolewski przymawiał Krzyżanowskiemu, a żartował.

— Słuchaj, Stefek, jeżeli się źle spisał, to się wyprę, żebym z tobą z Wielkopolski pochodził... Zupka dosyć mi obrzednio wygląda, byle nam tylko jakowejś dywersji nie uczyniła! He, he! A możesz ty się dać przekabacić tej seniorycie z pod Santa Maria? Przyznaj się! Panowie baczość! Krzyżanowski chce nas otruć!...

— Ba! Dobrze mówisz! — przytwierdził adjutant Rudowski. — Jakże to jej na mię? Donia Carmena!

Krzyżanowski zarumienił się.

— A co, a co! — dogadywał Niegolewski. — Carmena! Donia Carmena! Zdrada mościapanowie!

— Bądź spokojny! Widzisz, próbuję sam! Poleweczka, że buzi dać...

— Seniorze Carmenie!

— Jakbyś wiedział, żeby mi to dysgustu nie zrobiło!

— Hola! Panowie do łyżek! Kapitanowie prowadzą! Baczość!... Tuj!... Oczy w prawo!...

— Złoooty... hu... hu... humor w tym Niegolewskim! — jękał się Piotr Krasiński.

— I serce! — dodał ciszej Dziewanowski.

— Mości Stadnicki, Gotartowski, Dobiecki! Dalej do misy! Łyżki z ładownic! — zachęcał Krzyżanowski.

— Specjał, psia mać, na taki ziąb!

— Cesarz nie miał nic lepszego! — zauważył Dobiecki.

Polewka znikiała szybko z kociołka. Dziewanowski tylko coś nie był przy apetycie, a co adjutant Rudowski, ten ledwie przełknął parę łyżek.

— Adjutancie, do czarta, zdaje się wam, że Krzyżanowski naprawdę trucizny hiszpańskiej nawarzył?!

— Dziękuję wam, nie mogę! Sam nie wiem, co mi jest.

— Fu... fu... furda, adjutancie! — napominał kapitan Krasieński. — Trzyyyyymać się i nie dadawać!...

Rudowski uśmiechnął się smutnie.

— Czasem przyjdzie coś!...

— E! Toć i nasz kapitan także gardzi?...

— Nie, Jędrku! — odrzekł Dziewanowski. — Owszem. Smakowita, aż dziwić się należy sprawności Krzyżanowskiego. Ale, czekajcie! Mam tu i ja coś dla was....

Kapitan klasnął w dłonie i służbowemu swojemu dał ciche polecenie.

Po chwili oczom kompanji przedstawił się mocno wydęty wór z koziej skóry.

— Wino! To ci ucztą! Górą nasi! — zawołano wesóło.

Gdy kubki napełniły się ciemnym rubinowym trunkiem, Dziewanowski rzekł serdecznie:

— Towarzysze a koledzy!... — Ten oto mieszek dzwigam na mojej kobyle prawie od Bajonny... Nieraz mnie brała ochota zajrzeć do niego, lecz nie było okazji!... Dziś się ona zdarzyła...

— Choć beeeez przy... przyczyny! — dorzucił Krasieński.

— Właśnie, panie Piotrze, że się mylicie! Dziś bowiem mamy wigilię świętego Andrzeja, a że już po północy, przeto wnoszę zdrowie naszego Jędrka!...

— Wiwat Jędreku! Niech żyje porucznik!...

Niegolewski jał dziękować, a ścisnąć towarzyszków za ręce.

— Awansu! Krzyża! Zasługi! Generalstwa! — padały zewsząd życzenia.

— Bóg zapłać! Toć mnie spotkała niespodzianka!

A to dzięki kapitanowi!... Jego zdrowie! Oby nam szefem został!...

— Wiwat Dziewanowski!...

— Kapitanie, psia mać! — zaczął basem Stadnicki i urwał nagle.

— Stadnicki, ggađaj śmiaało!! — zachęcał Krasieński.

— Co tu gadać! Kapitan nasz, psia mać, ojciec, brat, psia mać! Lada ciurze druh! Bodaj... żeby... niech mu... psia mać... tfy! Jak się pomyśli — to człeka tu za grdykę chwyta, że... że łatwiej wybeczyć, niż ten...

— Dooo... brze mówi Stadnicki! Wiwat Dziewanowski! — wołał z zapalem Krasieński.

— Hola, towarzysze, dwóch nas jest tu kapitanów!!

— Paaanie Jaaanie! Raangi nie wypominajcie! Paa-trzę na was i daalipan...

— Zdrowie kapitanów! — wołał Niegolewski.

— Powoli, powoli Jędreku! — upominał Dziewanowski. — Wino hiszpańskie! Zdradliwe, jak oczy tej donii Carmeny! Z pozoru łagodne, potulne, a mocy w niem do licha! Jesteśmy na służbie! Jutro, skoro świt, czeka nas pewno rekonesans, a może eskorta i warta przy cesarzu!

— Więc niech żyje cesarz!

— Wiwat!!

Zasłona namiotu uchyliła się nagle — wszedł Kozietulski. Zebrani umilkli z uszanowaniem.

— Czuwamy, widzę, nie na żarty! Czy nie za huczno? Generał Montbrun objeżdża przednie strażę! Siedzajcie panowie!

Diewanowski podsunął się do szefa drugiego szwadronu.

— Pułkowniku, czy wachmistrze tu obecni?...

Kozietulski odgadł zapytanie i przerwał.

— Proszę, zostańcie waszmościowie! Kapitan Dziewanowski was przyzywał, to i dosyć!... No, nie róbcie mi tu służbowych min! Przerwałem wam?!

— Święcimy imieniny Niegolewskiego! — objaśnił Krasiński.

— Pomyślności! Rangi wyższej!

— Niech żyje nasz pułkownik! — huknął rozochocony Stadnicki.

— Niech żyje! — podtrzymał chór głosów.

— Przyjmuję w zastępstwie nieobecnego szefa Stokowskiego.

— Który coś na szefa *in partibus infidelium* zakrawa! — dorzucił Dziewanowski.

— Zjawi się i on, zjawi! Dobry to oficer! Zasłużony!

— Et, bo pan pułkownik wziąłby nasz szwadron!

— Cóż — jestem przecież dzisiaj z wami sierotami!

Rozmowa urwała się nagle.

— Ale tu czegoś zaczyna być u was markotno — zauważył Koziętulski, rozglądając się po namiocie — może wam ze mną nieswojo?

— Ooo gdzietam! — zaprzeczył Krasiński. — Wszyscy poodobno jesteśmy krzywi! Jędrak nam nieco humory poprawił! Cóż ziąb, głusza! Zanosi się na długie po... po... choody!!

— Kto wie?! Toć sami marszałkowie nie są pewni, co i jak! Byłem z raportem u Bessièresa, rozmawiałem z naszym pułkownikiem! Nic! Atakować mają góry! Zresztą nie wiadomo! Stadnicki pewno wie więcej, bo z samym cesarzem konferował!

— Panie pułkowniku!

— No, upiecze się waści! Ale bądź na drugi raz ostro-

źniejszym!... Dobrze się to gawędzi, ale czas nam! Kogo służba nie wiąże, bodaj oko zmrużyć warto!...

W namiocie poruszono się z miejsc. Koziętulski z Krasińskim wyszli. Dobiecki ze Stadnickim jęli posłanie sobie szykować. Rudowski zapadł w półdrzemkę, tak jak siedział na skrzynce.

Wachmistrz Gotartowski również zbierał się do wyjścia, lecz Dziewanowski ujął go lekko za ramię.

— Idziecie, panie Florjanie, spocząć!?

— Rozgrzać się trochę przy ogniu.

— Pójdę z wami!

Kapitan z Gotartowskim podeszli do najbliższej palącego się ogniska i usadowili się pośród śpiących smacznie żołnierzy.

— Ale może wam przeszkadzam, chcielibyście usnąć?

Wachmistrz potrząsnął głową.

— Nie do snu mi czegoś dzisiaj!

— Ani mnie!

— Może pan kapitan przemarzł?! A może myśli jakieś!?

Dziewanowski dźwignął swemi szerokimi ramionami.

— Nie umiem rzec! Pamiętacie, wachmistrzu, toć ja sam wam to wymawiałem, dziś na mnie padło! Jakieś wspomnienia nachodzą... jakieś mary! Ostatniej nocy sen mnie zmordował. Śnił mi się, zgadnij kto, Marcysia szynkarka z Daniłowiczowskiej! Co, śmiech cię zdejmuję, wachmistrzu! Dobre stworzenie, zacna dusza! Ród chudopacholski! Lecz co dziś ród znaczy! Obaczno dokoła, skąd powstali ci książęta, marszałkowie, królowie! Zresztą, nie mam nikogo na świecie, kogoby moje związki grzały! Pusto!

— Prawda!

— Kiedy sięgam w przeszłość, ilekroć razy myślą pogonię ku stronom ojczystym, to zdaje mi się, jak gdyby przepaść mnie od nich odgradzała, jak gdybym już nigdy nie miał ich oglądać...

— Panie kapitanie, skąd te supozycje?

— A widzisz! Sam tobie wymawiałem dawniej... Ot, na mnie przyszło teraz! Bywają rozmaite przeczucia — niekiedy wieszczę!... Mamy wojnę!... Niepodobna się łudzić, aby i wśród nas nie było ofiar... Niejeden tu legnie!... Co krok czatują na nas kule, a te bodaj są najstraszniejsze...

— Tak ci jest! — przyznał gorączkowo Gotartowski. — Nie dalej jak wczoraj, szaserzy przeciągali drogą, naraz, z poza skały, trzy strzały padły — trzech ludzi legło trupem! Zarządzono pościg — nikogo ani śladu! Okropne! Straszna śmierć!...

Dziewanowski westchnął.

— Bo i ta wojna jest straszna. Nie pierwszą odbywasz kampanję, mości Gotartowski, toż czujesz różnicę! Bodajby nam jeno z wojskiem wojować przyszło! Dzielny naród te Hiszpany! Bronią swego! Tak, tak! Rwą się nasi, drą do bitwy, aż drżą do rozprawy, aby się wykazać cesarzowi — ale bodaj czy nie na zgubę własną!...

— Drzazgi pójdą, panie kapitanie! Umrzeć na polu bitwy, wśród gradu kul umrzeć i w ostatniej godzinie swej widzieć zwycięstwo, do którego się rękę przyłożyło! To zgon piękny... takiegobym pragnął, takiegobym rad szukał!

— Tak, to szczęście! Dla śmierci warto się wyrzec życia!... Ja też powiadam sobie, byle nie mnich, nie kobieta, nie dziecko — zresztą ołowianka zwyczajna czy gra-

nat, choćby z rykoszetu!... Nie takim pojedyńkom, jak ja krzywda i nie tym, co tu zginą, lecz tym, co tam zostali!...

— Zapewne! — przyznał głucho wachmistrz.

Kapitan się podniósł.

— Ziąb i tutaj! Patrz, ognisko wygasa!... Otul się płaszczem i spocznij!

— Nie, nie! Lepiej na obóz wyjść.

— Ja z wami! Obejdziemy placówki!

Kapitan ruszył ociężale z Florjanem ku wysuniętym pikietom.

— Jakby się na śnieg zaniosło! — zauważył Dziewanowski, spoglądając na ołowiane płachty obłoków, wyzieraających z poza mgły.

— Śnieg, tutaj?

— Podobno nawet częstym gościem! Zabójczy klimat. W dzień parzy słońce a nocami ziąb. Dwunastu mamy już chorych w szwadronie...

— Ludzie łatwiej dają sobie radę niż konie. Pasza niedostatnia...

Dziewanowski wskazał nagle na namiot szefa szwadronu, około którego przechodzili.

— Koziatulski nie śpi! Czeka, pozdrowię go!

Dziewanowski uchylił zasłonę. Koziatulski klęczał z rękoma ku niebu wzniesionymi.

— Kapitan cofnął się szybko.

— Modli się — szepnął.

Na linii pikiet spotkano wachmistrza Piotra Wasilewskiego.

— Cóż tam, wachmistrzu?

— Nic!... Stoi się! Przejeżdżał przed chwilą generał Montbrun. Jest pewnie teraz na pierwszej linii... Artyle-
rja zatoczyła armaty.

— Gdzie porucznik Rowicki?
 — Przy pikietach, na prawo.
 — Nie było jakich alarmów?
 — Ba!... piechota trzyma przed nami mocny łańcuch...
 Niema nic do roboty!
 — Jesteście, widzę, cierpcy, jak zwykle?...
 — Anibym śmiał, kapitanie! Tylko...
 — Tylko co?!
 — A no znów sworują się wołyżery, szasery i grenadjerzy konni, a my na gapiów zejdziemy!
 — Nie chmurz się, stary! Służba!
 — Hm! Według rozkazu — to się wie — niema rezonów!
 — Twój pluton w porządku!
 — W zupełnym, panie kapitanie — jeden Szum stoi czwartą godzinę w pełnym rynsztunku!
 — Za co?
 — Za... za krnąbrność, panie kapitanie!
 — Ejże!
 — Żeby w prusackim wojsku był, to ze trzydzieści fuchtliby go nie minęło!
 — Wachmistrzu! Szum! To potulne chłopię?!
 — Prawda, lecz od czasu, gdy mu pan kapitan nowe buty kupił, ani weź z nim poradzić!... Co do niego mówić — on nic — na buty pogląda i zęby do nich szczyrzy! Trzy razy zmylił komendę przy apelu!
 — No, no stary! Już mu tam daruj!
 — Melduję pokornie, nicpotem wielkie! Tylko co koszulin ze dwie toby mu się zdało! Biedactwo takie, że źle patrzeć, grosza przy duszy! A pod mundurem łach jeden, jedna szmata!
 — Trzeba coś wymyślić! Widzisz, Wasilewski, mówi-

łem, biedak, wąły przy tem... a ty go na ziąb taki trzymasz!...

— Nic mu nie będzie, panie kapitanie! Subordynacja musi być, jak przykazano!... No, a półkożuszek, pod mundur, to mu dałem, bo mnie nic po nim... Ściągnęło mnie w marszach, i... i... jest za mały!...

Dziewanowski poklepał wachmistrza po ramieniu i odszedł z Gotartowskim w drugą stronę obozowiska.

— Szczery żołnierz ten Wasilewski — zauważył Dziewanowski. — At, jak i cały nasz szwadron!

— Pana kapitana zasługa!

— Te — te! Ot waści przyszło komplementy prawić!

Gotartowski chciał odpowiedzieć, lecz kapitan rzuciwszy okiem na ognisko, dookoła którego leżeli pokotem żołnierze, dostrzegł, że jeden z nich, snąc wśród snu niepokojnego, zdarł z siebie płaszcz i leżał odkryty. Dziewanowski podszedł szybko i okrył żołnierza płaszczem.

Szwoleżer oczy otworzył.

— Kapitan! — szepnął wpółsenny.

— Cyt! Śpij, śpij, dzieciaku! — rzekł łagodnie Dziewanowski i zwrócił w bok za wachmistrzem.

— Zdumiewam się sercu pana kapitana! — ozwał się wachmistrz po małej chwili.

— Przesadzasz, prosty obowiązek! Toć policzno, ilu my tu w kompanji mamy dzieciuchów prawie, młodzieniaszków! Nam, starym żołnierzom, to nic, ale co takim! Wyrwali się na świat — odrobina troskliwości im się należy! Ile przytem biedy a nędzy!... Mundurki ledwie się trzymają, rzemienie pękają, niszczeje wszystko. A mało jest naprawdę takich, którymby dukaty słano z kraju, a bywa, że i z żołdu strącają jeszcze wydatek za pierwszy rynsztunek.

— Prawda, lecz co w naszej trzeciej kompanji nikt bodaj, krom pana kapitana, nie ma powodu do utyskiwań!... Aż wstyd zdejmuję widzieć, jak pan kapitan grosza ostatniego się dla nas wyzbywa!

— Ot, wyprowadziłeś w pole! Mnie wiele nie trzeba! Służby nie trzymam, luzaków nie prowadzę, zbierać nie mam dla kogo! Starczy, dziękować Bogu! No, bywaj mi, wachmistrzu! Raport muszę wygotować w zastępstwie szefa. A wy choć oko zmrużcie! Lada chwila zmiana przyjdzie na was.

Kapitan skręcił do namiotu. Gotartowski legł przy ognisku obok Stadnickiego.

Światło poranku jęło mgły przezierać. Białe zasłony ważyły się po nad ziemią, zlewały się z podniebieskimi obłokami, szarzyną przejmowały nawet amarantowe kołnierze płaszczy szwoleżerów. Z dogasających ognisk wyrwały się smugi dymu, a nie mogąc przemódz tłoczących je oparów, rozlewały się w przyziemne koliska i pęłzały wśród leżących pokotem żołnierzy.

Porucznik Niegolewski trzymał dyżur na pikietach. Obszedł już po kilkakroć stanowiska, dotarł do łańcucha piechoty francuskiej, sąsiadującej tuż ze szwoleżerami — spokój głęboki panował dokoła. Niekiedy różległ się monotony głos placówki, obwołujący nadchodzący ront, czasem patrol żandarmerji polowej zadzwonił w dali kopytami na skalistej drodze i cisza.

Niegolewski przysiadł na kamieniu i otulił się płaszczem. Po nieprzespanej prawie nocy, ranek przejmował porucznika do szpiku. Wilgoć a mroźny wiatr przyprawiał go o drżenie.

Porucznik nasunął czapę, podniósł kołnierz płaszcza i mocniej się omotał.

Zwolna senność ogarnęła Niegolewskiego a wraz z nią mary zwodnicze snuć się zaczęły. I oto zdało mu się, że widzi przed sobą marsową twarz rodzica, widzi jak ta twarz uśmiecha się doń i mówi:

— No, mości panie Andrzeju — dzień twego patrona! Weźże sobie na wiazarek sroką kobyłkę i tę uzdeczkę pradziadowską, o którąś się tak przymawiał!

Widzenie to było tak żywe, iż Niegolewski całem ciałem aż się do nóg rodzicowych pochylił.



Andrzej Niegolewski

Ten ruch obudził porucznika. Niegolewski zerwał się na równe nogi.

— Piękniebym się spisał, gdyby mnie kto zaszedł! — mruknął do siebie i, chcąc senność odpędzić, zawrócił zamaszystymi krokami na linję pikiet.

Naraz, w oddali, dał się słyszeć przyśpieszony tętent kopyt końskich. Niegolewski postąpił naprzód ku pikiecie.

Chciał rzucić już służbowe zapytanie szwoleżerowi, gdy o kilkanaście kroków przed sobą dojrzał cesarza.

Napoleon cwałował zasepiony, mając za sobą ledwie dwóch oficerów ordynansu. Mgły kłębiły się dookoła.

Porucznik ledwie pogonił wzrokiem za cesarzem, lecz też same mgły, które go oczom Niegolewskiego ukazały, już się zesunęły, zwarły.

Niegolewski pobiegł do namiotów.

Okrzyk „cesarz na pikietach“ postawił wszystkich oficerów na nogi. Jeden tylko porucznik Krzyżanowski spał tak twardo, że Niegolewski aż wodą musiał mu w twarz chlusnąć.

— Wstawaj do kroćset! Cesarz na pikietach przed nami!

Krzyżanowski z żalem zwlókł się z rozesłanych der i ociężale oczy przecierał.

— Rusz się śpiochu! Koziętulski dawno na nogach! Lada chwila cesarz może tędy wracać! Świt!! — huczał Niegolewski.

— Cesarz!?! — Gdybyś ty wiedział, jak ja spałem! O, gdyby tak jeszcze można... choć dzień, rok cały... spać i śnić!!...

TRĄBKI zagrały długo, włóczyście. Dźwięki ich spływały po biwakach aż wspięły się na mgliste zawały i hen, zerwały się ku obłokom i ku niebu pomknęły razem z poszeptem krótkich pacierzy.

Szwoleżerowie dzwignęli się. Gromada spętanych koni powitała ich rażnem parsaniem.

Żołnierz zęgnął się, rozprostowywał skostniałe ciało, zbierał swoją chudobę i biegł wierzchowca swego opatrywać.

Ruch zawrzał gorączkowy w trzecim szwadronie szwoleżerów. Pod kociołkami zatrzeszczały drzazgi. Zachrzebotały zgrzebla. Szczotki jęły się butów. Klamry, guzy a blachy kumały się ze szmatami.

Oficerowie doglądali porządku a baczyli na każdy drobiazg żołnierski. Toż szwadron na służbę przy cesarzu samym szedł, strach, gdyby się nie wydał, gdyby chybił. Na pomnienie poszłoby od dowódcy gwardji Bessièresa począwszy, przez wszystkie stopnieby przeleciało! Rozumieli to oficerowie, rozumieli i szeregowcy, i łatali, jak mogli, mocno podszarżane uniformy.

A co wachmistrz Wasilewski to nawet rozłożył swoją słynną na cały szwadron torbę i, dobywszy z niej воск, nici a igłę, przyszywał gorączkowo guzy u żołnierskiego płaszcza, prawiąc surową naukę siedzącemu obok niego Szumowi:

— Widzisz, urwiesz!... Obrywać to potrafisz! Co? Gadaj mi zaraz!...

— Urwały się, wachmistrzu! — rzekł z pokorą Szum.

— Urwały się! Same się urwały? — Sto lat przesłuszysz... i nawet brygadjerem nie zostaniesz!... Gdzie takiemu!... Tak, patrz się znów na buty!... Dalipan zaraportuję! A kaszel cię dusi? Nicpoń!...

Szum ozwał się smutnie:

— Taki już jestem — niezdarzony!...

— Hm! Niezdarzony! Choroba, dalipan, jak to odpowiada! Ja mu tu jeszcze będę guzy przyszywał! Dalej! Precz z tem... Niech cię kapitan przyłapie!

Wachmistrz odrzucił ze złością płaszcz. Szum podniósł go z ziemi. Guzy były już przyszyte.

Na bladej twarzy młodego szwoleżera trysnął rumieniec.

— Bóg wam zapłać, wachmistrzu! — szepnął potulnie Szum.

Wachmistrz zatrząsł się z gniewu.

— Co mi ty, koszalki opalki! Cóż sobie myślisz? Pana Boga do guzików twoich będziesz mi wzywał?! A to kara istna!... Jemu do wojska! Do kawalerji, do gwardji!...

Szwoleżerowie śpiesznie kończyli ranne zajęcia. Nie upłynęła godzina a szwadron stał wyciągnięty w dwie równe linje. Koziętulski obchodził szeregi i lustrował oddział.

Mgły zaczęły się powoli przersedzać. Od głównej kwatery nadjechał furjer dworu cesarskiego, major de Ségur, i przywiózł rozkaz, aby szwoleżerowie byli w pogotowiu.

— Panie majorze! — ozwał się wesoło Koziętulski. — Toć widzisz pan... czekamy!

— Cesarz wyjechał sam na obejrzenie pozycji! Niech mnie licho porwie, jeżeli co nowego zobaczy! Góry, skały

i znów góry i znów skały — a między niemi szyja wąska na kilkunastu ludzi i w dodatku szyja kręta! Trzema armatami mogą nam cały korpus wystrzelać!

— Czyżby!

— Przekonasz się pan! Gdy się jeno przetrze trochę, zacznie się taniec! Skończy się na pukaniu! Bo żeby tu, naprzeciw można jakąś pozycję zająć! Gdzie! Góry jakby zrozmysłu na redutę budowane! Nawet sam Berthier nosem dziś kręci! Zresztą kto wie — cesarz kazał, musi mieć swój plan!

— Mam posunąć szwadron ku głównej kwaterze?!

— Nie trzeba! Generał Montbrun spadnie tu panu jak z nieba! Uwaga, panie szefie! Czy mnie wzrok nie myli?! Cesarz nadciąga!...

— Ba-a-czość! Tój! — zakomenderował Koziętulski. — Oczy w prawo!

Napoleon ukazał się wdali. Jechał teraz stępą, z widocznym roztargnieniem, pozwalając się nieść koniowi. Na twarzy Bonapartego rysowała się głęboka zaduma.

Szwoleżerowie zapanowali oddech w piersiach, gotując się do powitalnego okrzyku, lecz Napoleon o kilkadziesiąt kroków przed szwadronem zatrzymał konia, zeskoczył lekko na ziemię i, rzuciwszy cugle oficerowi ordynansu, usiadł pod drzewem wpobliżu drogi.

Służbowy oficer cesarza dopadł szwoleżerów.

— Komendancie, każ ogień rozniecić żołnierzom przed najjaśniejszym panem! Macie tu dery!...

Koziętulski skinął na najbliższych stojących żołnierzów.

Pan de Ségur pośpieszył ze swej strony z pomocą w urządzaniu zaimprovizowanego spoczynku cesarskiego.

Żołnierze rozbiegli się do marszałków i sztabu z wiadomością, że cesarz spoczywa pod linją placówek, za wsią.

Pod drzewem ułożono pień oliwny na siedzenie cesarskie. Wielkie ognisko buchnęło z trzaskiem u stóp Napoleona. Pluton spieszonych szwoleżerów ogarnął miejsce spoczynku cesarza wielkim kołem wart.

Od wsi Boceguillas nadciągać jęli generałowie sztabowcy, wreszcie marszałkowie...

Pod smutnie czerniejącymi konarami rozłożystego platanu zaroiło się od mundurów. Na zrudziałej murawie ukazały się barwne mundury adjutantów, złote sychy generałów, żaboty marszałków, malownicze zawoje mameluków, akselbanty, pióropusze, feldcechy, srebrne ładownice, dworskie fraki, niedźwiedzie czapy, wysmukłe kity.

Napoleon wysłuchiwał raportu naczelnika przedniej straży, generała Montbruna, a potem długą miał rozmowę z Bessièresem.

Marszałek zdawał sprawę z odbytego rekonesansu pod górami. Cesarz z uwagą słuchał wniosków i wywodów. Bessières w żywych słowach malował obronność pozycji nieprzyjacielskiej.

Napoleon z głową pochyloną poglądał na ognisko. Wtem, między drzewami cichy powstał szmer. Bonaparte podniósł głowę i zobaczył żołnierza, który z fajeczką w ręku przedzierał się do ognia cesarskiego, aby ją zapalić. Generał Montbrun zdążył go w porę zatrzymać...

Lecz Napoleon skinął na generała i rzekł spokojnie:

— *Laissez le faire!*

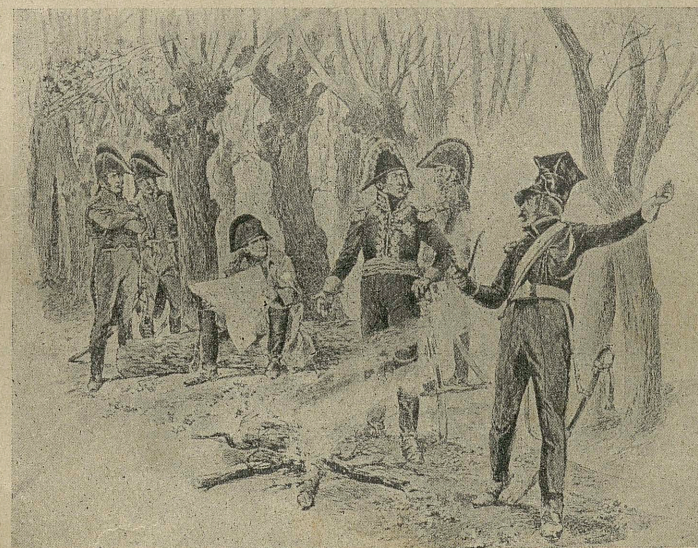
Montbrun ustąpił z drogi śmiałkowi. Żołnierz z flegmą zbliżył się do ognia, ukląkł, wygarnął rozpalony węgielek końcem pałasza i z zadowoleniem pyknął raz i drugi z fajeczki, rozkoszując się błękitnym dymem.

Bonaparte śledził uważnie ruchy żołnierza, ten atoli nie zdawał się zwracać uwagi na obecność cesarza.

Oficerowie poglądali w milczącym zdumieniu na tę scenę.

Kiedy już fajeczka rozżarzyła się na dobre, żołnierz zawrócił spokojnie od ogniska. Montbrun schwycił go za ramię.

— Podziękuj najjaśniejszemu panu za jego łaskawość! — upomniął gorączkowo.



Tam mu podziękuję...
Rysunek Joba

Żołnierz przystanął, spojrzał ku cesarzowi i odparł flegmatycznie, wskazując na wychylające się ze mgieł górskie łańcuchy Guadarramy:

— Ja mu tam... podziękuję!

Spokojny, zimny z pozoru głos żołnierza zadźwięczał taką przytem mocą, taką siłą przekonania, iż Montbrun cofnął się mimowoli.

Żołnierz skreślił na lewo ku stanowisku szwoleżerów. A za nim szedł wzrok Bonapartego jasny, promieniejący,

zapatrzony w czworogranną czapę śmiałka, w znaczony amarantem kołnierz.

Za żołnierzem skoczył tymczasem stojący w świetle szef Koziętulski.

— Jak się nazywasz?!

— Paskudnie, panie pułkowniku! — odrzekł ponuro żołnierz.

— Mów, jakże?!

— Poniński.

Napoleon spojrzał znów pytającym wzrokiem na Bessièresa, który przerwał raport.

— I cóż dalej?!

— Potwierdzić muszę *sire* to, co mówiłem wczoraj. Pozycja jest niezdobyta... Trzebaby zacząć obejście gór! Marszałek Ney mógłby...

— Albo zaatakować wprost!

— Tak jest, *sire*! Lecz czy piechota zdoła się wdrzeć po tych...

— Jazda! — rzucił ostro Napoleon.

— *Sire*! — wyjąkał pomieszany marszałek.

— Cóż, cóż takiego?!

— Niech mi wolno będzie przypomnieć, że w wąwozie ledwie trzy konie obok siebie mogą się pomieścić... Droga wyboista i mocno wypukła! Szesnaście armat zagraadza drogę... trzynaście tysięcy regularnego wojska na górach!... Krzyżowym ogniem zniosą każdy pułk, któryby śmiał do wąwozu się posunąć, będzie zdziesiątkowany zanim dotrze pierwszej baterji... A dotarłszy, może walczyć tylko trzema, pięcioma szablami!... Przed wąwozem jest rozkop szeroki czy rzeczka nawet... *Sire*! To jest niepodobieństwo!...

Marszałek umilkł, wystraszony własną śmiałością. Napoleon zagryzł usta. Po chwili milczenia zagadnął sucho.

— Który szwadron szwoleżerów polskich jest dziś na służbie?!

— Trzeci, *sire*! — odpowiedział Bessières.

— Niech będzie przy mnie!

— Według rozkazu!

— Victor!

Marszałek Perrin stanął przed cesarzem.



*Perrin Victor — Marszałek Francuski.
Malował Gros.*

— Możesz zaczynać!

Victor salutował cesarza i skoczył do stojących w pobliżu wierzchowców. Tłum adjutantów rzucił się za marszałkiem.

Bitwa.

BĘBNI warknęły, trąbki zagrały chrapliwie. Z oddali iść zaczął głuchy, miarowy poszum.

Baterja Senarmonta buchnęła kłębamii dymu i ryknęła ponuro, w ślad za nią ozwały się bezładne, tępe strzały tyraljerów.

Góry milczały, połyskując dumnie swym skalistym pancerzem i tonąc w mgłach.

Za czwartą salwą Senarmonta, Guadarrama plunęła żelazem. Huk przeraźliwy, pomnożony przez echa górskie wstrząsnął powietrzem.

Don Benito San Juan czuwał.

Kule armatnie pruły opary i darły zasłony. Dziewięćdziesiąty szósty pułk ruszył środkiem wprost ku wąwozowi, dźwigając pęki faszyny.

Na lewem skrzydle pierwszego batalionu maszerował stary kapral Protot i gawędził z idącym obok niego szeregowcem:

— Zagadali do siebie! Co? Jak to gwiżdżą! Ślepa pukania! Chociaż czasem szelmy... wymacać potrafią!... Baczność!

Kula armatnia padła u stóp kaprała, żłobiąc krwawą bruzdę w szeregach.

Protot schwycił się za piersi i jęknął z triumfem:

— Widzisz... mówiłem, czasem wymaca!...

Armaty grały coraz szybciej, coraz zajadlej. Piechota hiszpańska razila ołowiem. Pułk dziewięćdziesiąty szósty topniał w ogniu, każdy krok znacząc krwawymi strugami, aż zdołał rzucić pęki faszyny w rozwarte szeroko brzegi rzeczki.

Faszyna spływać zaczęła, szarpana wartkim nurtem... lecz tuż za nią jęły się staczać ludzkie ciała.

Pułk osłabł. Jeszcze wlec się próbował, raz jeszcze zdobył się na rotowy ogień, lecz zasypany żelazem, cofnął swoje strzepy. Za nim już stał drugi pułk, za drugim trzeci, czwarty. Tyraljerzy coraz zacięciej razili stojących na stokach gór Hiszpanów. Ci cofnęli się za wierchołki.

Cel zniknął dla tyraljerów. Wąwóz i góry jeżyły się stalowymi lufami karabinów i groźnymi paszczami armat.

Pułki piechoty szły. Szły ponure, milczące. Szły, rozumiejąc, że na zgubę pewną idą, że nim zdołają do skał dotrzeć, armaty nieprzyjacielskie zdziesiątkują ich, zmiażdżą.

Rozkaz!

Marszałek Victor zsiadł z konia i stanął na czele dziewiątego pułku, maszerującego na lewe skrzydło, generał Semele z przeciwnej strony wiodł pułk dwudziesty czwarty. Wodzowie pierwsi wdarli się na najbliższe stojące skały i usiłowali pociągnąć za sobą żołnierzy, góry atoli bluznęły gwałtowniejszym jeszcze potokiem kul.

Żołnierze francuscy zmieszali się i jak fala morską, u podnóża rafy, rozprysnęli się w bezładne kłęby i cofnęli się w nieładzie.

Rozkaz!

Victor nowy pułk zagrzewa. Dywizja Ruffina wysuwa się na czoło. Już dopaść zdołała pnącego się ku górcom tarasu, już kilkunastu żołnierzy skryło się za zrębami skał,

gdy znów grad żelaza stoczył się ku dywizji, pierwsze szeregi zmiotł, drugie potargał, trzecie zmieszał!...

Rozkaz!

Bębny warczą zajadłe. Co chwila z huku armatniego dobywa się rozpaczliwa komenda:

— Szlusuj!

Kolumny zwierają się posłuszne i nikną w oczach.

W baterji Senarmonta już dwa działa umilkły, zdemonstrowane przez Hiszpanów.

Bonaparte siedział zadumany pod drzewem, jak gdyby wsłuchując się w huk armat. Od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył badawczo przeżących się przed nim ordynansów i adjutantów, którzy urywanymi zdaniem i raportowali przebieg bitwy.

Raporty brzmiały wciąż jednakowo.

— Pułk zdziesiątkowany! Ogień nieprzyjaciela zabójczy! Dostępu niema!

Napoleon szarpał niecierpliwie trzymaną w ręku rękawicę.

— Montbrun! — wyrzucił gwałtownie. — Wysłać mi natychmiast rekonesans w góry poza linję, w bok, niech pochwyci języka!

Montbrun skinął na stojącego w pobliżu Koziatulskiego. Rozkaz dosięgnął wnet szwoleżerów. Porucznik Niegolewski ruszył na czele pół plutonu Wasilewskiego.

Do Napoleona dopadł tymczasem młody adjutant artylerji.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał. — Trzecie działo zdemonstrowane!

Bonaparte porwał się na nogi.

— Sire! Mam dać rozkaz... artylerji gwardji? — zagadnął pośpiesznie Bessières.

— Chcesz góry rozbijać?... Konia!...

Napoleon wskoczył na siodło i ruszył ku górom. Bessières, Montbrun, Duroc, de Ségur i orszak ordynansów i adjutantów dosiadł koni. Za nimi tuż postępował trzeci szwadron szwoleżerów, prowadzony przez Kozietulskiego.

Bonaparte minął idące do ataku pułki piechoty i zatrzymał się dopiero na szerokiej płaszczyźnie, zasłanej ciałami poległych.

Napoleon badał pozycje. Rozprószone nieco mgły odsłaniały już widok na gardziel wąwozu Somosierry, w głębi którego ustawiona bateria sypała zabójcze pociski.

— *Sire!* — rzekł z mocą Bessières. — Nie narażaj tyle nam drogiego życia!...

Bonaparte poruszył się niecierpliwie. Koń cesarza wśród huku a świstu kul targał się a otrząsał niespokojnie.

— Rzeczka założona faszynami?

— Niezupełnie, *sire!*

— Ponowić atak!

Świeży pułk piechoty porwał się z miejsca.

— *Vive l'empereur!* — huczeli żołnierze, przeciągając w pobliżu. Okrzyk ich atoli wśród ryku armat ginął, rozplywał się.

Pułk szedł z hardo podniesionym orłem.

Bonaparte ścigał go wzrokiem. Widział jak masy ciał słaniały się, jak ranni, w półżywi darli się do rzeczki. Szczytem bohaterstwa było dotrzeć do niej i rzucić w nią pęk chrustu...

— *Vive l'empereur!*

Rzeczka wypełniała się szybko. Ciała żołnierzy lepiej tu się sprawiały niż faszyna.

— *Vive l'empereur!*

Porucznik Niegolewski tymczasem zdołał sprawić ordynans. Generał Montbrun stawiał przed cesarzem wydarte go góry Hiszpana.

Napoleon spojrzał na przerażoną twarz jeńca i dał znak, że nie chce go pytać.

— Bessières! Gdzie szwoleżerowie?

— Na prawo, za sztabem.

Bonaparte spojrzał w stronę, kędy bieleł się pas płaszców a czerniały pokrowcami ceratowymi okryte ułanki.

— Dobrze stoją, smarkacze!

— Prawda, *sire!*

— Kawalerję gwardji każ wyciągnąć z poza wsi ku nam!

Napoleon zwrócił lunetę ku gardzieli wąwozu. Orzeł cesarski chwiał się bezwładnie ponad cofającymi się szczątkami pułku... Most z ciał ludzkich był rzucony.

— Dosyć! Bessières!

— *Sire!*

— Szarża natychmiast! Szwadron szwoleżerów!

— Najjaśniejszy panie, atak niemożliwy! Niech obejda...

— Co, niemożliwy! Powiedz im, że ja chcę! Marsz!

Bessières pochylił się na siodle i spadł na szwadron.

Szef Kozietulski rozmawiał był właśnie z generałem Montbrunem i furjerem cesarskim, majorem de Ségur.

Marszałek rzucił Kozietulskiemu rozkaz. Montbrun zdarł konia.

— Panie marszałku! Szarża!?!—zdumiał się generał.— Niepodobieństwo! Na daremną zgubę...

— Rozkaz cesarski! — uciał krótko Bessières.

Kozietulski dobył pałasza i zatoczył koniem przed szwadronem.

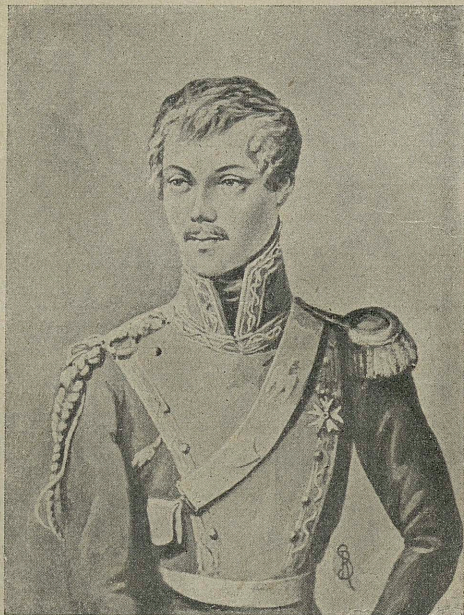
Kilka gromkich zawołań zwinęło linję, wyciągnęło szwoleżerów w czwórki. Szable błysnęły. Słońce wychyliło się z poza obłoków.

— Do milion djabłów! — rozległ się stalowy głos Kozietulskiego. — Cesarz chce, abyśmy tych szczurów wymietli! Naprzód! — Marsz!...

Szwadron drgnął. Trąbki zagrały na cwał.

Na młodzieńczych twarzach zakwitły rumieńce. Z pod czap jasne oczy trysnęły skrami.

Kozietulski podniósł pałasz do góry, jednym płomienym rzutem oka duszę przeniknął szwadronu i zawołał gromko:



Jan Kozietulski

— Naprzód, psiekrwie! Cesarz patrzy!

— Niech żyje cesarz! — huknęli żołnierze i pochylili się na siodłach.

Szwadron zaszamotał się. Spiętrzyły się ostrogami naciśnięte konie i runęły jak wezbrany potok ku ziejącej

ogniem gardzieli, jak lawina, jak burza i wyciągnęły szyje i rozwarły chrapy, ledwie ziemi dotykając kopytami. Jeden koń drugiego napierał, do szalonego niewoląc wyścigu. A z ocz i z serc żołnierzy jednakie szły ognie, jedna w brwiach była zaciętość, jedna morowość, jeden zapal i myśl jedna.

Oto tam, woddali, stoi ten, który za krew naszą przyrzekł wrócić ojczyznę, — który żąda dowodu męstwa, — który wątpił, czy jesteśmy godnymi być narodem, — który stał się jedyną naszą nadzieją, z losami którego skuliśmy naszą przyszłość! A oto tam, za sinemi smugami, stoi ziemia nasza rodzona i pogląda zadumana w mgły zachodu i czeka ziszczenia błogosławieństw, czeka dotrzymania danych jej przysiąg, czeka!

Ta myśl gorzała w sercach, ta myśl kurczowo zacisnęła kście na rękojeściach, ta myśl szwadron szwoleżerów przeistoczyła w jedno ciało, zakłęła w jedną duszę.

Somosierra broniła wolności i dumy narodu.

Hiszpanie zaprzysięgli ledz w wąwozie — szwoleżerowie nieśli mu w ofierze lata młodzieńcze.

Szwadron przesadził rzeczkę, w połowie zasypaną ciałami poległych a w połowie chrustem, i wpadł w wąwóz.

Baterja hiszpańska, ustawiona na pierwszym jego skrećcie, sypnęła gradem kul. Sześciu żołnierzy zważyło się z koni.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał Kozietulski, lecz koń jego zachwiał się, bluznął krwią i padł.

Szef szwadronu stoczył się pod ścianę wąwozu.

— Na armaty, dzieci! Niech żyje cesarz! — huknął teraz Dziewanowski.

Szwależerowie wpadli na kanonjerów hiszpańskich, z nim ci po raz drugi zdołali podłożyć lonty.

Szwadron pędził dalej, ledwie końcem pałaszy zawadając o resztki kanonjerów. Czego nie dokonały — cięcia, tratowały konie.

Gardziel wawozu za pierwszą baterją zwięzała się, tworząc zaciemniony korytarz, a w końcu załamywała się i znów wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załamów broniła oddzielna baterja, zagradzała drogę, tworzyła węzeł, stanowiła niezdobytą redutę, była dość silną, by atakowi stawić czoło, by go zetrzeć na miazgę, by z miazgi tej dla samej siebie zawał obronny utworzyć.

Thermopyle hiszpańskie cztery miały ogniwa, cztery czeluście, w których, czego armatyby nie zdołały wymieść, lasy karabinów, na szczytach ustawione, miały do skał przygwoździć.

Strzałów chybiających tu nie było. Wawóz prostował skrzywienia celów, gdy kula o ścianę jego uderzyła, wypryskiwał odłamami granitu i srogie zadawał kontuzje.

Wiedział o tem Don Benito San Juan i czekał za górami, rychło fala żołnierzy francuskich, szamocąca się u stóp Somosierry, nie odpłynie upokorzona. Wiedziała o tem i „Chunta“ rządząca powstaniem i czekała spokojnie w Aranchuez wiadomości o ustąpieniu Bonapartego.

Gdy szwadron Koziatulskiego porwał się do szarży, Don Benito San Juan uśmiechnął się pogardliwie... Lecz gdy ponad pierwszą przepłynął baterją, gdy do uszu Don Benita doszedł okrzyk gromki, potężny, brzmiały szaleństwem — wódz hiszpański zbladł...

Szwadron pędził naprzód. Stu dwudziestu ludzi rzucało się na armję, na grad kul, na góry, na skały, na Somosierra.

Szwadron pędził naprzód. Koziatulski, stoczywszy się

z konia, pomimo kontuzji, oczy wzniosł błagalnie ku mijającym go w pędzie żołnierzom i zebrał.

— Bracia! Towarzysze! Konia!

Nikt go nie słuchał.

Przed drugą baterją padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonjerów odłam skały uderzeniem w piersi zwałił z konia Piotra Krasińskiego... Dziesięciu żołnierzy okupiło drugą redutę...

Dziewanowski prowadził dalej, mając tuż przy sobie wachmistrza Wasilewskiego ze szwoleżerem Szumem.

Na trzecim załame ogień nieprzyjacielski wzmógł się. Piechota hiszpańska strumieniem żelaza zasypywała wawóz, baterje raziły zajadłe. Kule zrywały szwoleżerom czapy, szarpały płaszcze i mundury na strzępy, raniły i zabijały konie, dziesiątkowały szeregi. Co chwila ktoś zaczynał się słaniać na koniu i zapadał się w potok pędzący.

Bez komendy — konie szlusowały, zamykały przerzedzone szeregi, a choć na grzbiecie swym dźwigały niekiedy już tylko krwią zlaną kulbakę — mknęły dalej, dopóki kule armatnie nie poszarpały ich, nie zbiły z nóg.

Kompanje mieszały się, plutony brały już podział życia i podział śmierci.

Wachmistrz Gotartowski, którego kompanja szła druga do szarży, znalazł się tuż za Wasilewskim w chwili, gdy trzecia baterja, zdążywszy do drugiego strzału się przygotować, sypnęła żelazem. Salwa była straszna. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozwiął, kanonjerzy byli strатовani.

Wachmistrz spojrział przed się i zadrzał. Dziewanowskiego na przedzie nie było. Szum zniknął. Wachmistrz obejrzał się, kula karabinowa musnęła go po ramieniu. Konie z tyłu naparły silniej.

— Naprzód! — huczał teraz adjutant Rudowski.

— Naprzód! — wołał nadbiegający z tyłu Niegolewski.

Na górach tymczasem stało się to, czego ani dzielny



*Ulan polski
malował Bellangé*

Don Benito, ani chunta rządząca, ani Bonaparte przewodzić nie mogli.

Szczyty Somosierry zakołysały się, szeregi Hiszpanów zachwiały, okrzyk przerażenia dobył się z piersi powstańczego wojska! U jego stóp na krańcu niezdobytego wąwo-

zu ukazały się białe płaszcze szwoleżerów i pokrowcami okryte ułanki.

Armaty zagwożdżone, z zalanymi krwią zapalami, okryte trupami zwycięzców i zwyciężonych, umilkły...

Okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ huczał a piał się po skałach, a jęczał...

Hiszpanie zdumieli się — broń wypadła im z rąk, zmieszali się, złamali karne łańcuchy i jak fala spływać zaczęli ze stoków Somosierry i szukać schronienia, kędy wiły się ścieżki, kędy górski wąwóz wiódł ku Saragossie, Madrytowi, Aranchuezowi, Walencji...

Ucieczka była straszna. Lęk nie miał pomiarkowania, głuchy był na zaklęcia dowódców, niepomny na własne bezpieczeństwo. Żołnierze parli przed siebie na oślep, częstokroć na końcu wąwozu znajdując ponurą, nieubłaganą ścianę, która im była wyrokiem śmierci, gdyż z gardzieli somosierskiej wysypały się już świeże szwadrony szwoleżerów, szaserów i konnych grenadjerów, a na góry pięła się bezkarnie piechota francuska.

Zgiełk bitwy nikł za górami i rozpraszał się. Oddziały kawalerji wracać zaczęły powoli, prowadząc tysiące niewolnika. Piechota zajęła obóz Don Benita.

Wąwóz Somosierra zastygł i ponure cienie słał na bezkształtne masy ciał ludzkich.

Pod trzecią baterją z pod lawety czołgać się zaczął ranny szwoleżer, klnąc głośno a nawołując:

— Nie lubię psia mać!... Psa niema! Hej! do czarta — rusz się choć który! Panie poruczniku!...

Ciało adjutanta Rudowskiego, leżące bezwładnie na armacie, drgnęło.

Szwoleżer ryknął z całej siły:

— Poruczniku, bo mnie, psia mać!... Nie słyszy!... Stodnicki do...

Szwoleżer dotknął ręką porucznika i przeżegnał się, zaczem z wysiłkiem obejrzał się dokoła i raz jeszcze zakrzyknął:

— Odezwiż się który!

W odpowiedzi jakiś jęk cichy rozległ się z drugiej strony armaty. Stadnicki posunął się na rękach.

— Przecież jedna pocziwa dusza, co się tym djabłom wyrwać z ciała nie pozwoliła!... Ba!... Ani chybi albo Jaworski albo Grabowski!

Leżący żołnierz śnać zrozumiał, bo potrzęsął głową.

— He? Ruszasz się? Czekaj, dam ci wina. Olaboga! To mnie potracili!... Phi, bratku! Wlać się wleje — lecz trzeba ci brzuch zaszyć... bo dziurawy na wylot! Psia mać, ambulansu ani poświeć!... Łykaj!

Ranny otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się.

— Jeden Puciata! — szepnął z zadowoleniem.

— Co? Co pleciesz?! Pilno im wszystkim, biedakom! Człowiekowi może samemu przyjdzie wędrować! Żywego ducha!

Naraz w głębi, od strony czwartej baterji dał się słyszeć przyspieszony odgłos kopyt końskich, a po chwili ukazał się wachmistrz Wasilewski.

— Hola! Panie Pietrze! Ratujże, bo się podźwignąć nie mogę! Gdzie nasi?!

Wasilewski ściągnął konia i mruknął:

— Poginęli! Leży wszystko pokotem w wąwozie!

— A Hiszpanie!?

— Goni ich za górami nasz pułk z grenadjerami i zaserami gwardji!... No bywaj, pilno mi!

— Dokąd?! Ratujże, psia mać!

— Jadę po ambulanse! Porucznik Niegolewski dogorywa! — wachmistrz spojrział przed siebie i zmarszczył się. — Kapitan tu leży! Chwili czasu!

— Czekajże, kobyła wasza krwawi!

— Dostała w lewy chrap, trzy zęby jej wybiło! Porucznikowi Rowickiemu nogi urwało! Skończył!

Wasilewski szarpnął konia i, klucząc między stosami ciał ludzkich i końskich kadłubów, skierował się ku głównej kwaterze. Gdy wachmistrz mijał miejsce, gdzie leżał kapitan Dziewanowski, postyszał cichy, rzewny szept.

— Wachmistrzu!

Wasilewski zębami zgrzytnął.

— Milczeć! Sprowadzę wam ambulanse!...

— Wachmistrzu — buty!...

Wasilewski zatrzymał konia. Tuż przed nim leżał szwoleżer Szum i poglądał z rozpaczą na rozdartą cholewę.

— Co ci?...

— Nic, wachmistrzu — rzekł pokornie szwoleżer, osłaniając ręką krwawiącą ranę na piersiach. — Ale buty!...

— Mówiłem! Tobie nic uczciwego nie warto sprawiać! Trzeci dzień...

Szum skinął twierdząco głową i skonał.

Wasilewskiemu łza zawisła na nastroszonych wąsach. Spiał konia ostrogami i pomknął.

Od wsi Bocéguillas ruszył już Bonaparte ze swoim sztabem i wjechał w wąwóz — tuż za nim postępowała karetą pułkownika Krasieńskiego, wysłana po Kozietulskiego i wozy ambulansowe.

Napoleon jechał wyciągniętym kłusem, oglądając uważnie wąwóz — od czasu do czasu zwracał się do Bessièresa i rzucał lakoniczne uwagi:

— 'ozycja niezdobyta! Wąwóz stworzony do obrony!...

— Prawda — *sir!* Dzielni ludzie, odwaga szalona!...

— A co... mówiłem!...

— *Sir..* oto pierwsza baterja! Jakież tu atak być mu-

siał!... Kanonjerzy leżą... z lontami w ręku do nowego wystrzału!...

— *Sont-ils braves ces Polonais!*

— Żeby uwierzyć — trzeba widzieć!...

Im orszak dalej w głąb wąwozu się zapuszczał, tem zdumienie, podziw sztabu wzrastał. Jak wdrzeć tu się mogła kawalerja, jak przepłynąć zdołała ponad baterjami, które całą szerokość wąwozu zajmowały.

Koń Cesarza przeszedł w stępa, omijając kałuże krwi ostrożnie depcząc około poległych. Od czasu do czasu z pośród stosu ciał unosiła się ręka, a z piersi konającego wydobywał się okrzyk, pełen zapału:

— Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten brzmiał groźny, mocny i dookoła czary rzucał. Wpół zastygłe ciała poruszały się, posiniałe wargi składały się do uśmiechu, w zbiegających oczach drgało życie.

— Niech żyje cesarz! — wołali ranni.

— Niech żyje cesarz! — szeptali konający, ostatnie wydając tchnienie.

Na drugiej baterji Bonaparte dostrzegł żołnierza, siedzącego na armacie i operującego coś około ręki.

Żołnierz zobaczywszy cesarza, podniósł lewą ręką bezwładnie zwieszającą się dłoń prawej i przyłożył ją do czapy.

— Cóż ci to, zuchu?

— Nic, najjaśniejszy panie, jesteśmy teraz kwit!...

— Jakto? Jesteś ranny!

— To za dzisiejszy ogień do fajki!

— Marszałku, podaj go do krzyża!

— Jak się nazywasz?

— Poniński!

— Podziękuj najjaśniejszemu panu!...

Żołnierz wzruszył ramionami i syknął z bólu, a potem odrzekł flegmatycznie:

— Dziękować? Na dobrą sprawę, jakby zmierzyć tę dziurę, którą mi szelma *carrajo* hiszpański wywiercił bagnietem w ramieniu, z węgielkiem do fajki, to i tak jeszcze mi się należeć coś będzie!

— Jesteś wachmistrzem!

— To znów ja będę w zaległości!

— Więc jakże chcesz?! — roześmiał się Bonaparte.

— Niech już wachmistrz zostanie u mnie na procencie! U mnie będzie pewniejszy!

Cesarz, w świetny humor wprawiony, ruszył dalej. Pod trzecią baterją powitał go Stadnicki.

— Jesteś wachmistrzem?

— Tym samym, który miał szczęście rozmawiać zeszłej nocy z najjaśniejszym panem!

— Ranny?

— Dwie kontuzje!

— Kto tu jest więcej?!

— Porucznik Rudowski... na lawecie!

— Bessières... legja! Krzyż oficerski!

— Najjaśniejszy panie, porucznik nie żyje! Jemu, aby na mogiłę potrzeba krzyża! Lecz tam nasz... nasz kapitan Dziewanowski!

Bonaparte zsiadł z konia i zbliżył się do miejsca, gdzie leżał Dziewanowski. Kapitan miał strzaskaną po kolano nogę, lewe ramię wisiało mu na kawale skóry.

Kapitan otworzył oczy.

— Cierpisz?!

— Nie, rany nie bolą! — szepnął z wysiłkiem Dziewanowski.

— Okryłeś się sławą! Bessières! Ranga szefa szwadronu... oficer legji... dożywocie!

— Co tego to długo płacić nie będą! — ozwał się z ziemi Stadnicki, który był się doczołgał do kapitana.

— Hej! Bessières! Ambulanse niech nadjeżdżają prędzej. Otoczyć ich staraniem, opieką! Życie i zdrowie każdego z tych żołnierzy jest nieocenione!

Bonaparte zawrócił ku czwartej baterji.



Bitwa pod Somosierrą*)
malował Bellangé

Pułk szwoleżerów wracał z pogoni za nieprzyjacielem, wracał z hiszpańskimi sztandarami, wracał z niedobitkami trzeciego szwadronu na czele — tego szwadronu, który imię pułku złączył z Somosierrą po wsze czasy, który opromienił go sławą, który nań niesłychane sprowadził zaszczyty.

*) Nietylko liczne wspomnienia żołnierskie ale i obfita ikonografia dziejów Szwoleżerów Gwardji Napoleona I popełniała i popełnia uporczywe błędy. Słynny malarz-batalista Horacy Vernet zwykł był stroić szwoleżerów w białe, paradne uniformy a tuż po szarży, w wawozie Somosierry starał się

Bohaterska odwaga tej garści młodzieńców rzuciła czary na armję Napoleona. Stara gwardja cesarska, dumna, nieprzystępna, harda, spoglądająca na pułki linjowe z wysokości Alp i Piramid — usuwająca się od „polskich smyków“, którzy wśród niej się kręcili, a dzwonili zawadjacko szablami, teraz porwana, uniesiona zwycięstwem, kajała się.

Lody pryskały — stalowe twarze gorzały, w lwach z pod Marengo, Hohenlinden, Arcôle, odzywały się stwardniałe w bojach serca.

Pułk szwoleżerów wracał wśród okrzyków, wracał salutowany przez żołnierzy i oficerów. A gdy rozłożył się obozem, aby zasłużonego zażyć spoczynku — tłumy żołnierzy ze stojących w pobliżu pułków zbiegały się do szwoleżerów, śpiesząc dłoń ich uścisnąć, podzielić się manierką, przyjrzeć im się zblizka.

O zmierzchu zatrąbiono na apel, poczynając od trzeciego szwadronu.

portretować kapitana Dziewanowskiego na pogawędce z szefem szwadronu Koziatulskim i pułkownikiem Krasieńskim, nie bacząc, iż Dziewanowski w tej samej chwili dogorywał a Koziatulski leżał ranny. Niemniej znani artyści malarze i rysownicy, jak na przykład Bacler d'Albe, Grénier i Bellangé obdarzyli bohaterów z pod Somosierry lancami. Te błędy znalazły naśladowców, czas je utrwalił i tem samem ujął wawrzynów szwoleżerom... Należy przeto podkreślić, iż po koniec roku 1809 uzbrojenie szwoleżerów składało się z karabinka, dwu pistoletów i pałasza. Dopiero, kiedy w bitwie pod Wagram w starciu się z ułanami Schwarzenberga (ułanami-Polakami, niestety) szwoleżerowie gwardji osiągnęli nowy szewron bojowy i to dzięki temu, że atakującym ułanom wyrwali lance i posługiwali się zdobytą bronią i dokonali zwycięstwa, — wówczas Napoleon postanowił obdarzyć szwoleżerów jeszcze i lancami. Stało się to w rok po bitwie pod Somosierra. Pułk Szwoleżerów Gwardji był odtąd przezywany jako „Chevau-Légers Lanciers Polonais de la Garde“. Józef Załuski w pamiętnikach swych stwierdza, że gdy w końcu roku 1809, do Ustaritz, pod Pirenejami we Francji zjechał był kapitan Szeptycki na objęcie dowództwa oddziału szwoleżerów, którzy po raz drugi mieli wkroczyć do Hiszpanji, — że wówczas za Szeptyckim przybyły furgony z pikami i rymarzami. „Lance“, — powiada Załuski, — „były więcej kozackie niż ułańskie, to jest za długie, źle kute, z drzewa miękkiego, czerwono malowane, bez chora-

Wachmistrz Dąbczewski miał czytać kontrolę siódmej kompanji, Wasilewski trzeciej.

Wincenty Krasiński, pułkownik, i Dautancourt, gros-major, w otoczeniu oficerów stali przed frontem. Spieszone szeregi szwoleżerów grobowa zalegała cisza. Na przedzie stały szczątki trzeciego szwadronu z jedynym oficerem swoim Szeptyckim, który wysłany na służbę ordynansową nie był w szarży.

Wasilewski rozwinął podziurawioną kulami kontrolę — ręce mu drżały.

— Zaczynaj wachmistrzu! — rozkazał Krasiński.

Wasilewski zaczął czytać kolejną plutonów.

— Zielonka Benedykt, wachmistrz szef?...

Wasilewski urwał, czekając na odzew — szeregi milczały.

— Ranny! — ktoś odezwał się szeptem.

— Sokołowski, wachmistrz? — czytał dalej Wasilewski.

giewek. Proporzec ułański różnił się od piki kozackiej tem, że ta ostatnia jest dowolnie długa i częstokroć kozak oburącz nią niedołącznie kieruje. Proporzec zaś ułański powinien być tyle tylko długi, żeby mógł być zwrócony w prawo, w tył bez potrącenia grotem o ziemię. Rymarze musieli się natychmiast zająć opatrzeniem strzemion tulejkami na tylce lanc a siodła trokami do przypasowania karabinków po lewej stronie jeźdźca, ponieważ prawe ramię i cały bok prawy zajmowała kopja czyli lanca. Nie bardzo nam była na rękę ta broń nowa, bo oba szeregi zostały zarówno opatrzone lancami, nie porzucając karabinków, zachowując prócz tego po parze pistoletów, a ma się rozumieć i pałasze. — „Gdy jednak to uzbrojenie“, — pisze w innem miejscu tenże Żółkowski, — „okazało się uciążliwem i niestosownem, wróciliśmy się do przyjętego przez sławnych hussarów polskich zwyczaju, że tylko pierwszy szereg był uzbrojony w kopje czyli lance a drugi został przy karabinkach i pałaszach. — Zaraz po rozebraniu tych lanc, ruszyliśmy do Hiszpanji. Zdaje się nawet, że nasz oddział dlatego zatrzymał się pod Bordeaux i pod Bajonną, iż cesarz chciał żebyśmy do Hiszpanji weszli z proporcami, co też nastąpiło, bośmy się i o chorągiewki dwu barw, czerwonej z białą zaraz postarali“.

Wszystkie te szczegóły potwierdzają najdokładniej „Źródła do historii Pułku Polskiego Lekkokonnego Gwardji Napoleona I“ zebrane przez generała Dautancourta a ogłoszone przez Rembowskiego.

I znów cisza była pierwszą odpowiedzią, a po niej pomruk smutny:

— Zabity na baterji!

— Toedwen?

— W ambulansie!

— Roman?



Wincenty Krasiński
dowódca pułku szwoleżerów gwardji

— Kontuzja!

— Babecki?

— Ranny!

— Stadnicki, wachmistrz?

— Dwie kontuzje!

— Gotartowski Florjan?

Wasilewski podniósł głowę.

— Jeżeli kto co wie, odpowiadaj! — wtrącił się pułkownik Krasiński, a po przestanku rzekł do Wasilewskiego: — Zapisz tymczasem, wachmistrzu, „bez wieści!“

Wasilewski czytał dalej, czytał coraz gwałtowniej, coraz goręczkowiej, a kontrolę do oczu podnosił, aby snąć lepiej wymawiać nazwiska. Chór żołnierzy odpowiadał co chwila głuchym, ponurym głosem.

Stojący poza szczytkami trzeciego szwadronu szwoleżerowie odkryli głowy, a za ich przykładem poszli przypatrujący się zdala apelowi gwardziści francuscy.

Wasilewski skończył.

Dwunastu zabitych, sześciu dogorywających, czterech rannych ciężko, kontuzjowanych piętnastu, stratowanych trzech, dwóch bez wieści!

Wachmistrz Dąbrowski wystąpił z kontrolą kompanji Piotra Krasińskiego. Żniwo śmierci, kalectwa i niemocy i tu było obfite, i tu kompanja ledwie świeciła niedobitkami.

Zestawiono cyfry. Krasiński obwieścił pułkowi rozrachunek. Pięćdziesięciu siedmiu zabitych i ciężko rannych, nie licząc oficerów, z których dwóch legło na placu, dwóch dogorywa, dwóch budzi nadzieję przyjscia do zdrowia, jeden szef szwadronu lekko kontuzjowany, jeden porucznik Szeptycki ocalał, ile że nie był w szarży.

Długo w noc gwarzono przy ogniach, rozprawiając o bitwie, wspominając poległych towarzyszków. Długo w noc spełniano czarki a zapijano wiwaty.

Tylko w trzecim szwadronie wśród żołnierzy smutek a pustka wiała. Choć ciągnięto ich a zapraszano jako bohaterów dnia, woleli w swem szczupłym kolisku zostać...

Tu wczoraj Norwił ucieszne swoje krakowiaki ciągnął, tu Dziecioł pyzaty ze Świętarkiem w zawody szli, który dłużej tchem jednym apel wygra na trąbce, tu zasiadał gwarny pluton „dwóch drzew...“ Z jedenastu Jaworskich ocalał jeden, Grabowskich zostało dwu, Zawadzcy legli wszyscy. Szum, Olszewski, Waśniewski, trzech Bienkowskich, dwóch Orłowskich zabici.

DNIA następnego na rozświcie trąbki postawiły pułk szwoleżerów na nogi.

Marsz ku Madrytowi został nakazany. Szwoleżerowie iść mieli w przedniej straży i objąć rekonesanse i kurjerską służbę odprawiać.

Pułk wyciągnął się w długą wstęgę trójek, aby przesunąć się przez gardziel Guadarramy i na dany sygnał ruszył w pochód wyciągniętego stępa.

Tuż pod samą wsią Bocequillas obozował korpus marszałka Victora. Tu, gdy zdaleka dostrzeżono białe płaszcze i czworogranne czapy, porwano się od biwaków i bez komendy uformowano się nad drogą, witając szwoleżerów gorącymi zawołaniami.

Zapał żołnierzy udzielił się starszyźnie. Z namiotów wysypali się oficerowie — nadjechał sam marszałek.

Okrzyki grzmiały. Szwoleżerowie salutowali pałasza-
mi na podziękowanie.

Zanim pierwsze trójki zdołały dosięgnąć i minąć dom, w którym mieściła się główna kwatera — na drodze ukazał się Napoleon ze świtą. Przodem pędził co koń wyskoczy marszałek Bessières.

Krasiński zakomenderował:

— Bacność — prezentuj broń!

Marszałek ręką skinął i rzucił Krasińskiemu:

— Formuj szyk bojowy!

Pułk stanął — złamał wstęgę, zwrócił konie.

— *Demi ban!* — komenderował dzielny marszałek.

Trąbki zagrały długo, uroczyście zadudniły kotły.

Nadjechał Bonaparte ze sztabem i zdarł konia przed pułkiem.

Pułk łysnął pałaszami na powitanie.

Cesarz zdjął kapelusz.



Paweł Jerzmanowski.

— *Honneur aux braves des braves!* — rozległ się donośny dźwięczny głos Napoleona.

Pułk spojrział po sobie przez chwilę, jakby głosu nie mógł dobyć, aż huknął całą piersią:

— Niech żyje cesarz!

Bonaparte zatoczył koniem. Muzyka korpusu Victora, na dany znak przez Bessièresa, zagrała mazurka Dąbrow-

skiego. Pułk przedefilował przed cesarzem i znów wyciągnął się we wstęgę i znikł powoli w wąwozie Somo-sierry.

Wąwóz czerniał ponurą pustką. Armaty, ciała poległych były już uprzątnięte. Gdzieś tam tylko widniały skrzepłe, brunatne plamy, czasami złamana klinga błysnęła pod ścianą lub wyjrzała uwieczła kula.

Pułk ciągnął w milczeniu głębokim, w skupieniu.

Na przodzie pułkownik Krasinśki wszczął cichą rozmowę z majorem Dautancourtem i jadącym tuż kapitanem Jerzmanowskim.

— Piękny dzień! O takim nie śniłem!

— Ba! To, co dziś nas spotkało, jest niesłychanym w dziejach armji zaszczytem!... Nie pierwszy rok służę, rozmaite już widziałem uroczystości... Byłem świadkiem wielkich pochwał, które spadały na starą gwardję, ale cesarz, odkrywający głowę przed pułkiem!...

— A przypomina sobie major, jak to nas burczał w Warszawie? Co? — wtrącił żywo Jerzmanowski.

— No, no!... Przecież znów nie tak bardzo! — bronił się major. — Chociaż ja wam powiadam, że ta szarża, te zaszczyty nie warte są jednego Dziewanowskiego!...

— Zacny pan Jan — szepnął Jerzmanowski.

— Nie, nie! Wy swoje — ja swoje! Nie chcę, nie życzę wam takich szarży! Ofiara krwi za wielka! Kwiat młodości! Prawda, szesnaście krzyżów na pułk, dwadzieścia kilka awansów — deszcz złota hiszpańskiego — ale patrzcie tam!...

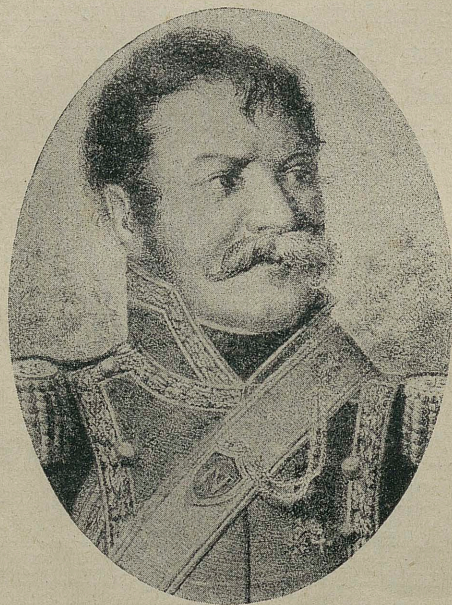
Gros-major wskazał ręką na złoty, świeżo usypany kopiec, który wznosił się za wylotem wąwozu, pośrodku rozległej doliny.

— I pomyśleć, że ludzie ci na to urodzili się nad Wiśłą, aby tu, na tem pustkowiu kastylijskiem... ledz!...

— Majorze, — upominał Krasiński — mówisz jakbyś nie był Francuzem!

— Nie o tem myślę teraz! Tfy! Gorzko człowiekowi! Toż tych dzieciaków sam wybierałem w Warszawie, sam co przedniejszych szukałem — i ot, macie, na co!...

Pułk wysuwał się powoli z wąwozu somosierskiego i spływał ku dolinie.



Gros-major Dautancourt

Krasiński, zbliżywszy się do kopca, przystanął, za jego przykładem poszły szeregi. Żołnierze zdjęli czapy.

Wachmistrz Wasilewski zeskoczył z konia i ukląkł u stóp kopca. Z drżących ust Wasilewskiego dobyły się słowa modlitwy za umarłych.

Modlitwa, na skrzydłach wiatru kołysana, chwiała orłem sztandaru i ginęła hen, w wąwozie.

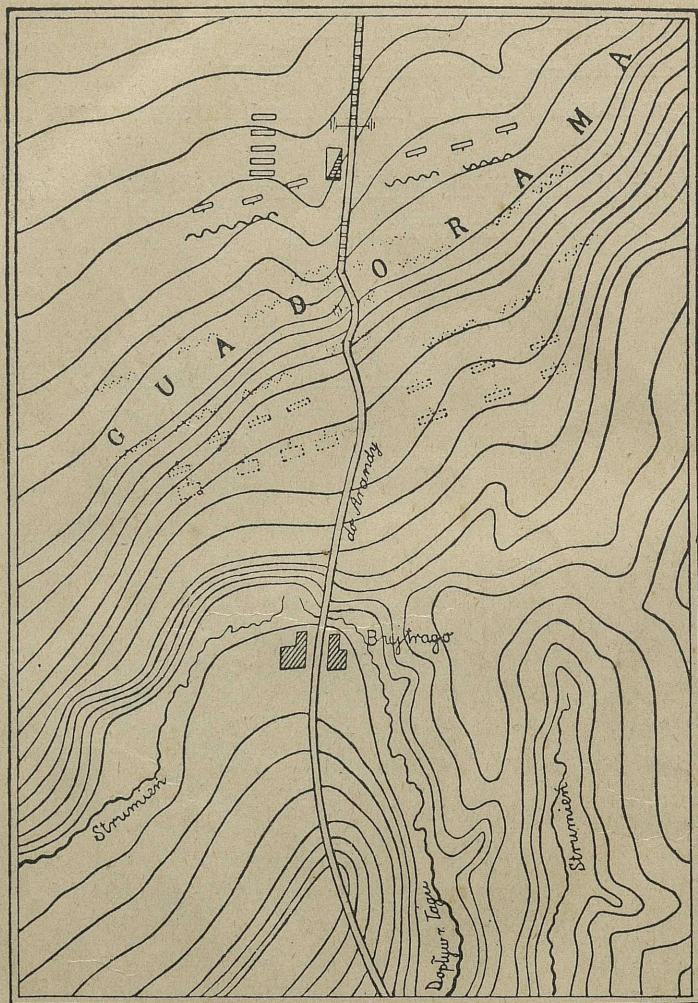
— Amen! — rzucił gromko wachmistrz.

— Amen! — powtórzył pułk.

— Amen! — odpowiedziały góry.

Major Dautancourt fyrknął energicznie nosem i mruknął cicho:

— Jak się człowiek będzie z nimi dłużej zadawał, to jeszcze kamedulą zostanie!...



MAPKA TOPOGRAFICZNA

OKOLICE BUJTRAGO

powyżej oznaczone stanowiska wojsk francuskich i hiszpańskich w górach Guadarramy.

I SŁONCE weszło po dniu sławy blade, zasnute szarymi obłoki, patrzące melancholijnie na krwawe plamy wawrzynów.

Cisza zalegała. Cisza pełna tajemniczego szeptu historii, cisza majestatu śmierci, cisza nieśmiertelnych.

W górach, ponad wąwozem, na skrzydłach wichru zrywały się gwałtowne poszumy i, zda się, niosły wciąż jeszcze, aż za brzegi Ebro, aż pod stopy Atlasu, ów okrzyk, jak grom potężny, jak nadzieja, która go zrodziła, zajałły, zapamiętały.

— Naprzód, psie krwie! Cesarz patrzy!...

Za okrzykiem tym, wyprutym z trzewi, wyrwanym z serca wraz z życiem... poszła garść szalonych duchem, poszła jak lawina i stopniała w morzu ognia i żelaza i miazgą ciał swoich usłała drogę wielkiej armji.

Cztery załamy wąwozu i cztery były baterje, cztery rzędy, ziejących śmiercią, potworów i cztery kolumny walczących, ukryte na wzgórzach. A ponad tem jedno hasło prawych synów Hiszpanji:

— Tu nasze będą Thermopile!

I oto wczoraj jeszcze stało przed łańcuchami Somosierry mrowie bagnietów i szabel, stało w ponurem milczeniu, nie ufając nawet sztandarom z pod Lodi, Marengo, Jeny i Austerlitzu.

I oto wczoraj jeszcze orły cesarskie wracały bezsilne

z pod górskiej gardzieli, kołysząc się bezwładnie pośród własną krwią zbryzganych, zdziesiątkowanych bataljonów.

I oto wczoraj jeszcze ci, co na arcolskim moście szlufy oficerskie wzięli, stygli wobec tych ścian oślizgłych, stromych, odpowiadających na każdą kulę złomami wypryskujących kamieni...

Aż naraz zdobywcy błysnęła myśl straszna, piekielna myśl... Skinął... i na zmożenie rozpaczy wysłał rozpacz! Ta musiała zwyciężyć, której ból był większy...

Bramy Madrytu stanęły otworem. W gardzieli górskiej zawarczały bębny, huknęły surmy i armja napoleońska rozlała się jak morze po wzgórzach Kastylji.

I ucichło wszystko. Zarumieniły się szczyty dumne i skryły w mrokach. Nastął dzień głuszy...

Małe miasteczko górskie Bujtrago, leżące na drodze do Madrytu, za łańcuchem Guadarramy, a tuż u wylotu wąwozu Somosierry, tonęło w nieprzejrzystych, zimowych oparach grudniowego poranku. Niskie rozplaszczone domy świeciły pustką, patrząc ponuro poprzez wpół rozwarte okiennice na snujące się ulicami żołdactwo. Jeszcze dni kilka temu życie tryskało tu wrzącym strumieniem. Okrzyki wojenne łączyły się ze szczękiem oręża, ze zgrzytem ostrzonych obosiecznie *cuchillos*. Rozełkana dziewczyna w piosnce żalosnej szukała ukojenia, brzękiem gitary chciała zagłuszyć zrywającą się w jej piersi tęsknicę. W *hosteryach* krążyły czarki, rozlegały się dźwięki namiętnego fandanga, porywającego zapateada. Straż przednia Don Benito San Juana ciągnęła w bezładnych gromadach pod Supelwedę, żegnana uderzeniami kastańców.

Młodzieniec kłął się przynieść seniorze głowę Francuza, seniora sztylet kryła na rozkołysanem łonie.

Aż naraz przyszła wieść od Junty z Aranjuezu i... Bujtrago poruszyło się, zakotłowało i... zamarło w wygasłych ogniskach. Dusza zeń wyszła, został tylko szkielet...

A potem do szkieletu tego jęły ciągnąć długie karawany wielkich, okrytych białem płótnem wozów, sączących krople krwi. Z wozów tych dobywano bezkształtne kawały ciał, dyszących ciężko, a bezwładnie się przelewających, i układano je w opustoszałych domach na gołej polepie.

I nowa zawrzała tu walka. Walka setek istnień z widmem śmierci, walka o życie, walka o wieczną niemoc. Dwóch chirurgów pracy nastarczyć nie mogło. Co napoczęły kule, granaty, cięcia a kontuzje, oni kończyć musieli. Niby tracze, przebierający pnie zwalone na polanie leśnej, piłowali, cięli, rąbali, byle zmiażdżone części usunąć, a życie bodaj w kadłubie zachować.

Pomoc często przychodziła spóźniona, często operowane ciało na rękach chirurgów tężało, przeżyło się w śmiertelnym skurczu, stygło...

W obszernej, ponurej izbie jednego z domów miasteczka Bujtrago leżało rozłożonych na glinianem klepisku aż sześć materacy.

Sześć materacy, co za zbytek, co za rozrzutność karygodna! W izbie tej było zaledwie piętnastu rannych, a w całym mieście nie naliczyłby więcej podestów nad dwadzieścia.

Starszy chirurg zwrócił uwagę na tę niesprawiedliwość i wszedł do izby, a zoczywszy tuż przy progu współczesnego dozorcę, huknął na niego:

— Sześć materacy?! Kto tu?! Jak się ważyłeś?

— Nie wiem! — oburknał dozorca. — Pierwszych ich przywieźli! Po trzech prawie leży na jednym!

Chirurg powiódł bystrym wzrokiem po izbie i przypadł do kąta.

— Po trzech?! Patrz! A tu dwóch tylko! Wygodniście!... Dołożyć im trzeciego!...

— Wody! — jęknął przejmujący głos.

— Dajże mu tam tej wody, do licha!...

— Skąd mu wezmę!

— Może masz wino? Ba, sam się z niem zdążyłeś załatwić! Nieporządek! Nieład! Zwarjować można! Ilu tu do roboty!

— Wszyscy!

— Są oficerami?

— Kto ich tam wie! Poszarpane to... zmiętoszone, obdarte... ani szlufy.

— Jaki pułk?

— Szwoleżerowie gwardji.

— Hm! Zimno tu! Skocz po grapę żelazną! Przy głównym ambulansie leżą węgle! Przynieś i roznieć im ognia! Zostawić ich w takim zimnie niepodobna! Za chwilę tu przyjdę z felczerami!

Chirurg wyszedł. Dozorca leniwie zabrał się do wypełnienia danego mu rozkazu. Naniósł powoli węgla drzewnego, ustawił na środku izby hiszpańskie *brassero*, znalezione w zakamarku domostwa, skrzesał ognia i wkrótce z misy dobyły się wraz z dymem gryzącym podłużne, sine płomienie.

Załatwiwszy się z ogniem, dozorca otulił się płaszczem i usiadł na pniu przed domem, mrużąc półgłosem do siebie:

— No, tu przynajmniej nie będę miał waszej muzyki.

W izbie tymczasem wśród jęków a ciężkich westchnień rozległ się cichy głos.

— Jędre! Słyszałeś... Powiada, że nas za mało na tym materacu!

— Oprawcy, traktują nas jak psów!

— Cóż chcesz? Jedna noga śmiało się tu może zmieścić! A... jutro może i ręka także!...

— Kapitanie! Cóż-bo znów?...

— Tak mi się zdaje! Ramię lewe piecze... tak mnie piecze... jak rozpalonem żelazem!... A patrz... władzy w rękę wcale...

— Et! Co to znaczy! Wygoją! Byle się wydostać z tego pustkowia! Z samego pragnienia zdechnąć przyjdzie! Ooo! W głowie mi szumi! Porwałbym te wiechcie na strzepy, gdybym mógł!

— Mospanowie do pioruna! — dał się słyszeć w przeciwległej stronie izby donośny głos. — Chcą nas tu żywcem uwędzić... Patrzcież, jaki się dym dobywa!...

Ciała rannych poruszyły się na dźwięk tego głosu.

— Zagorzejemy ani chybi! — Niech się to raz skończy! — Wołajcie! — Psa niema! — Łotry! — Rakarze! — zawołano dookoła.

— Kto tu jest?! — wołał tymczasem ten sam głos donośny. — Mospanowie, do apelu! Wiedzmyż przynajmniej kto jest z nami w tej smutnej kompanji! Słyszycie?! Kogo stać na dobycie głosu?!

— Zaczynaj pierwszy! — mruknął bas z głębi. — Apel to apel! — Bodaj cię... to mnie szelma liznął... u-u-u!!

— Śpieszcie się tylko, bo tu, obok mnie, już się inny apel rozpoczął! Jezus, Marja! Kona!... Przez miły Bóg... przestańcie skomleć!... Mówi coś... chce mówić!

Ranni zacisnęli zęby. Wśród głębokiej ciszy dał się słyszeć szept przejmujący, rzewny...

— Bracia... powiedzcie... Matce mojej powiedzcie...

Szept przeszedł w belkot, a potem w przeraźliwy charkot.

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków!

— Amen! — zamruczał ponuro bas.

— Amen! — odpowiedzieli chórem.

— Jędre! — ozwał się znów ranny do swego sąsiada na materacu. — Myśl słuszna, apel trzeba zrobić! Tyś mocniejszy, obwołaj!

Nazwany Jędrkiem uniósł z wysiłkiem obandażowaną głowę i rzucił ostro.

— Kapitan trzeciego szwadronu, trzeciej kompanji, Jan Dziewanowski, wzywa do apelu! Leży tu, obok mnie, porucznika Andrzeja Niegolewskiego! Następny!

— Podoficer siódmej kompanji, Stanisław Sokołowski!

— Ignacy Rymdeyko, szwoleżer!

— Piotr Krasiński, kapitan sió-o-o-dmej!...

— Wincenty Dobiecki, wachmistrz-szef siódmej kompanji!

— Wincenty Toedwen... wachmistrz!

— Zielonka...

— Norwił... szwoleżer!

— Kasarek!

— Wojciechowski! — warknął bas.

— Koziętulski! — ozwał się dźwięczny głos i cisza znów zapadła, przerywana ciężkiem dyszeniem rannych.

— Czy wszyscy?! — badał Niegolewski.

— Dwaj nieboszczycy, którzy obok mnie leżą... odmawiają posłuszeństwa! — mruknął basem wachmistrz Wojciechowski.

— Kapitanie! Kapitanie Dziewanowski! Co panu?!...

— wołał tymczasem Niegolewski, patrząc z przerażeniem,

jak wargi Dziewanowskiego siniały zwolna, a oczy mu słupem stawać zaczęły.

— Nic! Jędre! Pora na mnie!...

Czad z żarzących się węgli buchał coraz gwałtowniej z misy.

— Ratujcie! Na Boga!... — jęknął Niegolewski. — Głowę mi rozsادی! Ratujcie Dziewanowskiego!...

— Nasz kapitan! Ojciec nasz! Żeby choć jedna ręka!

— Czekaście chłopcy! — ozwał się Koziętulski. — Ja tu, widzę, bodaj największy nygus między wami! Udo tylko! Głupia kontuzja! Idę do Dziewanowskiego! Żeby choć kropla wody, zalałbym tę nieszczęsną grape z węglami!... Czekaście... Kawał drogi... Ooo!

Koziętulski zwlókł się na rękach ze swego materaca i jął czołgać się na prawym boku ku Dziewanowskiemu, odpoczywając co chwila i dysząc ciężko. Wreszcie zmógł się, zgrzytnął zębami dla opanowania drętowego darcia w lewym udzie i znalazł się tuż przy materacu, na którym jedną okryci derą leżeli Dziewanowski z Niegolewskim.

— Panie Janie! Do pioruna!

— Pułkownik! — wybelkotał z trudem Dziewanowski.

— Co wam?! Nie... dawać się!...

— Ja się nie... nie daję... ale trzeba!... Nie żal!... Nogę odjęli już!...

— Furda! Armaty chciałeś własnem ciałem zagwazdzać. Cesarz pytał o was! Legja na was czeka!...

— Legja! Nie dla niej...

— Pewnie! Stara gwardja zdumiona! O was tylko mówią i o Jędrku!

— I o-o-o Ségurze! — wmieszał się Krasiński słabym głosem.

— Co powiadacie?! — stęknął Dziewanowski.

forba
znowu walczyli
pan Filipow
— Et, tam! Nie wiecie, że panu Filipowi de Ségur koń się porwał do szarży za nami i zbiegał!... Właśnie gramoliłem się w wóz, jak wyście runęli, aż patrzę furjer cesarski cwałuje!... A no nic, zraniło go z rykoszetu i podobno został już hrabią!

Kapitan jęknął.

— Może... może wam pomóc, może poprawić leżenie?! Łapy mam zdrowe!...

— Nic, — głowę mi podejmijcie! Prawda, jaka ciężka? — Kto tu? — Jędrak leży — śpi pewnie. — Biedak! — Rzeszoto zeń zrobili. — Pułkowniku, przeżegnaj mnie! — Tak!... W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... amen... Teraz rękę moją uściśnij. — Mocniej! — Nie czuję... umieram po kawałku!... A dym pali... dławi... Puść głowę — nie utrzymasz...

Kozietulskiego kurcz chwycił za gardło, pochylił się mocniej nad Dziewanowskim. Kapitan uczuł na twarzy jakby opad kroplistej rosy.

— Płaczesz... pułkowniku?

— Cóż znowu!... Opaska zsunęła mi się z czoła i... zadrapanie krwawi...

Czad w izbie wzmagał się, odurzał rannych, zatrutował i tak gasnące życia. Kilku już zapadło w półsenne odrętwienie, jeszcze chwila a gryzący dym miał obezwładnić wszystkich.

Naraz drzwi z trzaskiem się otwarły. Do izby wpadł chirurg z felczerami i dozorcami.

— Co to znaczy? — Chcecie ich pozabijać? — Wynieść mi te węgle! — Niewypalone poważyleś się postawić!... Nie dopatrzyłeś, pod sąd pójdziesz za niedbalstwo! — Drzwi naścieżaj! — Powietrza co prędzej. Odbić deski z okien!... Uporządkować izbę! Lada minuta jego ekscelencja nadjedzie. — Napoje macie? — Dalej,

żywo!... Patrzcie, trzech zeszywniałych. — Mary i wynieść!...

Chirurg huczał, kłął i sypał rozkazami. Ruch się zrobił w izbie. Wyniesiono trupy szwoleżerów, rozdzielono napoje rzeźwiące, poprawiano i zmieniano bandaże.

Jeden tylko podoficer Sokołowski pić nie chciał, zęby zacisnął i jęczał głucho

— Za mną jeden z drugim! *Vive l'empereur!*



Wincenty Toedwen

— Co on mówi? — rzucił pośpiesznie chirurg.

— Szarżuje pewnie do nieba! — objaśnił po francusku wachmistrz Toedwen.

Chirurg pochylił się nad Sokołowskim, lecz ten już nie żył. Dozorcy usunęli trupa. Chirurg zbliżył się do materaca, na którym leżeli Dziewanowski z Niegolewskim i spostrzegł skulonego na ziemi Kozietulskiego.

— Co ty tu robisz? Na miejsce z nim! — zakomenderował ostro chirurg.

— Wiedz, kpie, że do pułkownika mówisz! — huknął z ziemi szwoleżer Rymdeyko i omdlał.

Chirurg się zmieszał.

— Panie pułkowniku! Proszę do opatrunku... Przepraszam... w tym tłoku...

Kozietulski wskazał na Dziewanowskiego.

— Tu... tu najpierw!... Patrz... bohater Somosierry leży przed panem! Dziewanowski!...

Kapitan drgnął.

— Nie... nie mnie!... Jędrak pilniejszy! Jego trzeba ratować... mnie nie pomoże!...

Chirurg skinął na felczerów i dozorców — odsłonięto dere... zdjęto bandaż z ramienia Dziewanowskiego. Oczom medyka ukazała się wielka, sina rana, sącząca brunatną, poczerniałą krew. Chirurg rzucił jakiś wyraz przez zęby... Felczerzy go zrozumieli, nałożyli szarpie, zabandażowali ranę z powrotem. Tu nie było co robić... reszty ran nawet oglądać się nie opłacało. Chirurg pochylił się nad Niegolewskim...

W tejże chwili we drzwiach izby ukazał się wielki marszałek dworu Duroc, księżę Fryulu, w otoczeniu adjutantów i paziów, z których jeden niósł wielką tacę, pełną błyszczących napoleonów.

— Czy tu leżą uczestnicy szarży na Somosierra?

— Tu, ekscelencjo! — odrzekł chirurg.

— Panowie! Pozdrawiam was w imieniu najjaśniejszego pana, który równocześnie polecił mi zapytać, czy nie macie jakich potrzeb, czy nie macie jakich próśb?

Głuche milczenie zaległo izbę. Wtem z barłoga pod ścianą, odezwał się chrapliwy głos Norwiłła:

— Owszem! Nie chciałbym... zdychać z głodu i pragnienia!...

— Ach — zafrasował się szczerze wielki marszałek. —

Bądźcie panowie spokojni! Dziś jeszcze przewiozą was do Camartin a stamtąd wprost do Madrytu. Chirurg przyboczny jego cesarskiej mości, generał Larrey, ma polecenie osobiście zająć się wami!... Czy leży tu kto z panów oficerów?

— Tak jest, ekscelencjo... właśnie szef szwadronu... kapitanów dwóch... porucznik...

— Szef Kozietulski jest tutaj?!

— Jestem, ekscelencjo!

— Natychmiast każę przenieść pana do oddzielnej izby!...

— Nie, nie ekscelencjo! My tu jesteśmy między swoimi! Pozwól nam zostać razem! Ot... dusza szarży wczorajszej, kapitan Dziewanowski tak samo pewnie myśli!

— Najjaśniejszy pan czterokrotnie o nim raczył wspominać! Krzyż oficerski podpisany!...

— Nogę mu odjęto a ręka...

— Starość będzie miał zabezpieczoną! Panowie! Muszę wam oświadczyć, że celem mego przybycia jest wysoka pieczołowitość najjaśniejszego pana o was! Oto, przewidując wasze potrzeby, najjaśniejszy pan polecił mi wydać ze swej szkatuły prywatnej po dziesięć napoleonów każdemu z oficerów, a po cztery niższym stopniom! Panowie pozwolą!

Diewanowski na te słowa targnął się gwałtownie i, dobywając resztek sił, zawołał z oburzeniem:

— Pułkowniku! Jędrak! Krasiński! Słyszycie! Przyszedł nam płacić!...

Ranni zaszemrali ponuro.

Duroc, nie rozumiejąc słów, wyrzeczonych przez kapitana, lecz z twarzy zmarszczonych, z głosów wzburzonych domyślając się ich znaczenia, jął tłumaczyć, że na-

poleondory to tylko dowód pamięci, dowód troskliwości cesarskiej, a nie zapłata!...

— I ja tak sędzę!—załagodził wzburzenie Koziętulski.

— Tak, tak, panowie!... — zagaił znów Duroc. — Wierście mi, te odwiedziny u was przez życie całe nie wyjdą mi z pamięci!... Bohaterstwo wasze wieki przetrwa...

— Ekscelencjo! — stęknął nagle młody szwoleżer Kasarek.

Duroc pochylił się ze współczuciem nad rannym.

— Co, co powiesz?...

— Ja... ja tych napoleonów nie chcę!... Co mi po nich!... Dajcie je... sierotom!... Umieram...

— Masz matkę? Masz rodzinę?! — zagadnął wzruszony Duroc.

— Nie!... Rodzina moja... tu!... Dziewanowski ojciec... wachmistrz brat...

— Dzielny! Dzielny żołnierzu!... Daj... niech dłoń twoją uścisnę!...

— Dłoń, ekscelencjo?! Wczoraj dwie były... dzisiaj noga tylko została!... Powiedz mu ekscelencjo... że... szwoleżer Kasarek kochał go przez miłość dla... Pod Twoją... obronę!...

Spazm kurczowy schwycił nagle szwoleżera i zdławił w nim resztę wyrazów. Kasarek konał.

Duroc odwrócił twarz zalaną łzami.

Dziewanowski spojrzał zdziwiony na marszałka i rzekł cicho:

— Ekscelencjo! Czego płaczesz?! Patrz... umieramy... z pogodą w sercu!...

— Kapitanie! Łaskę mi wyświadczyć... Niech czemkolwiek mogę ci dopomóc!...

— Zajmij się Niegolewskim!... Dwadzieścia jeden lat... A wczoraj, w dniu swoich imienin, dostał wprawdzie legję... lecz i ran jedenaście!

— Jedenaście?!...

— A w każdej czyha nań śmierć!...

— Kapitanie! Słowo moje! Lecz panu chciałbym...

— Mnie nic nie trzeba... mnie, ekscelencjo, każ włożyć pod głowę woreczek ziemi, którą znajdziesz w mojej kulbace...

I oto z pod Somosierry szli plutonami żołnierze. Szli promienni szczęściem, szli z pieśnią Bogarodzicy, szli przed tron Wszechmocnego, szli nowym indygenatem zdobni, szli w karmazynach krwi przelanej. Szli dumni, że oto w wawozach Somosierry wyryli imiona swe na wieki wielkie, na wieki drogie.

I próżno badacze siłą się dosięgnąć głębi sztuki bitewnej, która stu dwudziestu ludziom pozwoliła zdobyć niedosięgniętą redutę i próżno uczeni chcą wymierzyć szarżę a potomnym szwadronom za przykład do naśladowania stawiać. Próżno! Bo to, co jest z porywu, z mgnienia, ze skry, ze zlania się wielu serc w jednym uderzeniu, w jednym zapartym oddechu, to zaprzecza teorii, to w żadne karby nie da się ująć.

K O N I E C.

WŁASNOŚĆ
Zakładów Drzewnych L. P.
W HAJNÓWCE



NA MARGINESIE „SOMOSIERRY“.

Dzieje wiekopomnej szarży na Somosierra były, są i będą zawsze nie tylko chwałą polskiej kawalerji, nie tylko hardym szewronem, ale i klasycznym wzorem, ile dobór żołnierza, ile jego siła moralna, przykładem dowódców najbliższych spotęgowana, zaważyć jest w stanie na szali zwycięstwa.

Zmieniły się i zmieni jeszcze sztuka wojowania, spotężnieje oręż, morderczych przybędzie sposobów, lecz ani technika, ani rachuba niezdolne będą nigdy sprostać temu, co rodzi się z porywu, z ducha ofiary, z umiłowania ziemi ojczystej.

Bohaterstwo somosierrskich szaleńców nie przeminie, jako nie przeminęła rozpacz Leonidasa.

Tam, kędy żołnierska wiedza ruszy z żołnierską wiarą i żołnierską wolą, tam kędy do boju stanie żołnierz obywatel, tam, jako niegdy, garść stu dwudziestu ludzi uragać będzie tysiącom.

Działo się tak niegdy, działo się tak czasu Wielkiej Wojny, działo się tak wczoraj, dziać się będzie jutro.

W chciwym mocnego czytania, w chciwym takich wypomnień zrodziła się niezawodnie troska, ile w tej tutaj opowieści ścisłej historii, ile fantazji, ile literackiego tworzywa?

A więc jest tylko historia i jedynie historia a zaprawy mniej aniżeli nawet utwór literacki wymaga.

Zadnych faktów, żadnych nazwisk zmyślonych, nawet rodzajowe, biwakowe obrazy bezpośrednio ze świadectw poczerpnięte. Nawet „polewka migdałowa“ porucznika Krzyżanowskiego, nawet „sen“ Niegolewskiego, ściśle według dokumentów nanizane, rany, według list zliczone, mogiły zrachowane, — ani jednego wyrazu skomponowanego w ustach Napoleona, ani jednego epizodu wysnutego z koloryzatorskiego upodobania.

Wszelkie łatwe pokusy stylistyczne zostały odrzucone jako niegodne.

Szarża somosierrska była przez dziesiątki lat zakłamywana, wykoszlawiana, fałszowana. Wolej zostać skromnym, jak radzi niektórzy, „popularyzatorem“ aniżeli jednym więcej bajarzem.

Kogo zaś większa zdejmuję ciekawość, niechże patrzy, niechże szpera, niechże wertuje bodaj drukowane materiały, niech dotrze do polskich, niech francu-

skich spróbuje, niechże i hiszpańskich nie przeoczy, niechże i tych posłucha, co do dziś dnia wypominają *los lanceros polacos*.

Oto krótki wykaz najważniejszych materiałów:

Historja Konsulatu i Cesarstwa Thiersa, Pamiętniki Józefa Żałuskiego, Pamiętniki de Ségura, Massona Kawalerja Napoleona, Materiały do historii pułku szwoleżerów Dautancourta, ogłoszone przez Rembowskiego, Dwie broszury francuskie o Polakach pod Somosierra przez Niegolewskiego, Pamiętniki i korespondencje polityczne i wojskowe króla Józefa, Obrona Saragossy Don Manuela Cavallero, Powstanie, wojna i rewolucja w Hiszpanji napisana przez Toreną, Pamiętniki generała Marbot, Wielcy kawalerzyści pierwszego cesarstwa generała Thoumasy, Wojna w Hiszpanji według notat generała Jomiego przez Lecomte'a, Szarża jazdy pod Somosierra, broszura ogłoszona przez generała Puzyrewskiego w języku rosyjskim i polskim a w ostatku Biuletynu Wielkiej Armji, wydane przez Pascala.

Już pobieżne przerzucenie części tych tylko materiałów da ciekawemu mnóstwo wiadomości i całkowite potwierdzenie tej opowieści.

Ikonografja szarży ma niemniej ciekawą historję. Pionierami jej byli artyści francuscy, a więc najpierw topograf sztabu Napoleona Bacler d'Albe, Belangé, Grénier, Vernet, Lejeune; z artystów polskich: Suchodolski, Juliusz Kossak i Wojciech Kossak, — motywami szwoleżerskimi interesowali się bardzo liczni artyści malarze, niektórzy z nich, jak przedewszystkiem Bronisław Gembarzewski są historjozofami pułku szwoleżerów, inni uprawiali gorąco kult epizodyczny, jako to Jan Rozen, Jan Chelmiński, Stanisław Batowski, Wojciech Kossak, jak znakomity rysownik francuski Job, jak słynny Raffet, jak Adamczewski, inni jeszcze, jak Kurzawa, szwoleżerom poświęcali całe płaskorzeźby.

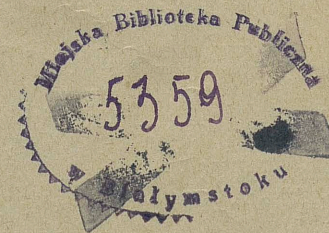
Na nich liczba się nie kończy.

Czyn rycerski, bohaterski czyn i dalej promieniować będzie, źródłem natchnienia i nowym pokoleniom się stanie.

Konstancin, pod Warszawą.

Październik, 1933.

W. G.



POWIEŚCI HISTORYCZNE

I INNE PRACE

WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO

(WIESŁAWA SCLAVUSA)

CZTERY POWIEŚCI O KAZIMIERZU PUŁASKIM:

MIŁOŚĆ KRÓLEWICZA. Str. 424,

zł. 10,—, w ozd. opr. zł. 12.50

INTERREGNUM. Str. 408, zł. 10,—, w ozd. opr. zł. 12.50

SODALIS REIPUBLICAE (w przygotowaniu).

WRÓG KRÓLÓW (w przygotowaniu).

POWIEŚCI Z CZASÓW NAPOLEOŃSKICH:

CZARNY GENERAL. Wyd. II. Str. 448,

zł. 8,—, w ozd. opr. zł. 10.50

DOBOSZ WOLTYŻERÓW. Powieść dla młodzieży z ryc.

A. Gawińskiego. Str. 172,

zł. 5,—, w kart. 6, w ozd. opr. 7.50

HURAGAN. 3 tomy. Wyd. V. Str. 876,

zł. 15,—, w ozd. opr. zł. 22.50

ROK 1809, 2 tomy. Wyd. IV. Str. 480,

zł. 10,—, w ozd. opr. zł. 16.—

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Wyd. III. Str. 348,

zł. 7,—, w ozd. opr. zł. 10.—

PANI WALEWSKA. 2 tomy. Wyd. IV. Str. 796,

zł. 15,—, w ozd. opr. zł. 20.—

POWIEŚCI Z CZASÓW POWSTANIA LISTOPADOWEGO:

KSIEŻNA ŁOWICKA. 2 tomy. Wyd. III. Str. 496,

zł. 8,—, w ozd. opr. zł. 13.—

BEM. Wyd. III. Str. 396,

zł. 6,—, w ozd. opr. zł. 8.50

EMILJA PLATER. Wyd. II. Str. 400,

zł. 8,—, w ozd. opr. zł. 10.50

1910—1915. HISTORIA ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI.

Str. 412,

zł. 12,—, w ozd. opr. zł. 14.50

KRÓLOBÓJCY. Tragiczne dzieje carów rosyjskich. Z 16 ryc.

Str. X+408. Wyd. V.

zł. 9,—, w ozd. opr. zł. 11.50

NIHILIŚCI. Powieść histor. z XIX w., zł. 6,—, w ozd. opr. 8.50

NOWA KOLCHIDA. Książka o Ameryce współczesnej Str. 328,

zł. 9,—, w ozd. opr. zł. 11.50

FIGULARZ. Powieść. Wyd. IV. Str. 320, zł. 5.50, w opr. zł. 8.—

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ



5359